Nr. 11. Lwów, dnia 1. Listopada 1891. Rok XIV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs. 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

PAROSTKI KOZŁÓW.

Studyum przyrodniczo-łowieckie

skreślił

Władysław Spausta.

(Ciąg dalszy).

Sądzę, że doświadczenia, czynione za pomocą kastracyi, wykazują tak jasno łączność organów płciowych z procesem regeneracyjnym parostków, iż więcej dowodów na to nie potrzeba; dodam tu jedynie, iż doświadczenia przeprowadzono w rozmaitych warunkach, a w najnowszych czasach pracował w tym przedmiocie Dr. Will na wielką skalę *(Deutsche Jagd Zeitung. str. 19)*. Łączność tę posunięto do tego stopnia, iż znany powszechnie w literaturze myśliwskiej Raul Dombrowski mianuje parostki pośrednimi organami rozpłodczymi.

Zdarzały się jednak wypadki, iż bezwieńcowe jelenie, które dowodnie nigdy wieńca nie posiadały, uczęszczały mimo to na rykowiska i odbijały inne, stając się ojcami bezwieńcowych pokoleń. Wypadek taki miał pomiędzy innymi miejsce u ks. Lamberga w Steyer. Znany badacz, August Pelzeln, podaje w sprawozdaniach Towarzystwa zoologiczno-botanicznego w Wiedniu z 1880, iż zabito koło Weyer bezwieńcowego jelenia, na którego ciele liczne ślady obrażeń wymownie świadczyły o przebyciu walki na rykowiskach. Posiadał on organa płciowe w stanie zupełnie normalnym, a badania drobnowidzowe wykryły obecność spermatozoów.

Lecz nie będę sięgał daleko po dalsze w tym względzie fakta, zwłaszcza, gdy się mogę pochwalić własnem doświadczeniem na rodzimej i bardzo bliskiej niwie zebranem.

Uczęszczając w r. 1886 na podchodne do blisko domu położonego lasku, ujrzałem obrazek, który mnie w najwyższe wprawił zdumienie. Dwie kozy biegały za sobą, a kozła wcale dojrzeć nie mogłem, mimo, że zrąb był dość niski, a widok otwarty. Zaciekawiony i mając ciągle mniemane kozy na oku, podchodziłem je zwolna. Podsunąwszy się dość blisko, bo na 60 kroków, rozpoznałem dopiero, że jedna z mniemanych kóz była samcem i za chwil kilka stałem nad starym, bo cztery lata mającym kozłem, który ani śladu parostek nie nosił.

Czy był on płodnym, tego z pewnością osądzić nie mogę, że zaś biegał za kozą, to także coś znaczy, chociaż jeszcze nie wiele. W lasku tym odosobnionym, obserwując zwierzostan przez następnych lat kilka, nie zauważałem ani

ja ani ktokolwiek inny powtórzenia się podobnego wypadku. Kozioł wspomniany był zupełnie normalnie wykształcony, a czaszkę miał do sarniej podobną, z wyjątkiem, iż kości czołowe były cokolwiek grubsze i wypuklejsze.

Istnienie takich gołogłowych samców u pełnorożców różnych odcieni i gatunków — samców, których siła rozpłodowa została w wielu wypadkach ściśle skonstatowaną — nastręcza pytanie, jaki może być powód ich powstania w wolnej naturze. Wspomniany już R. Dombrowski *(Geweihbildung europaeischer Hirscharten)* przypisuje powstanie tych wyjątków przypadkowym skaleczeniom młodzieży w organa płciowe przez zaciekłych i walką rozgrzanych samców na rykowiskach. Jest to możliwem, gdyż sprawdzoną jest rzeczą, iż młodzież częstokroć na rykowiskach się znachodzi. Otrzymane zranienia goją się bez żadnych trwałych śladów, gojenie jednak tyle absorbuje siły żywotnej, że nowo powstający wytwór organiczny zanika i więcej do rozwoju nie przychodzi.

Wiele w tem wszystkiem prawdopodobieństwa, ale daleko jeszcze do tego, aby można być przekonanym. Wstrzymuję się więc tutaj od wszelkich dalszych uwag, bo zdaje mi się, że w tym wypadku słowami do niczego nie dojdę, a nasuwa mi się tyle różnych kombinacyj możliwych, że lepiej kwestyę tę na razie jako nierozstrzygniętą na bok odłożyć.

Mówiąc o indywidualnych właściwościach parostków, należy wspomnieć jeszcze o jednej formie, będącej ciągłym przedmiotem żywej polemiki. Istnieją czy nie istnieją oczyszczone z mchu parostki koźlęce? Oto pytanie, które zawsze jeszcze czeka stanowczej odpowiedzi. Imiona rozmaitych w tym względzie badaczy i myśliwych, a reprezentantów wprost przeciwnych twierdzeń, stanowią tu niejaką gwarancyę, iż twierdzenia obu stron na realnych są oparte podstawach i dowodzą tylko, że nie ma tu stałych prawideł, a wszystko zależy bądź od stosunków bytowych, bądź od indywidualnej właściwości.

Specyalna polemika w tym przedmiocie, a niezgodne podania co do parostków kozła w ogólności, mają właśnie w tem swoje śródło, iż badacze i myśliwi w rozmaitych postawieni warunkach do coraz to innych dochodzą wyników.

Unikając możliwego nieporozumienia co do istoty t. z. parostków koźlęcych, powiem, iż chodzi tu o to, czyli na guzach czelnych koźlęcia już w jesieni lub w zimie pierwszego roku pojawiają się oczyszczone maleńkie parostki, które najczęściej nie dają się nawet spostrzegać, bo je kryje sierć, a nie o to, czy koźlę już w tym czasie osadza i oczyszcza parostki szpiczakowe. Jak subtelne pytanie — tak zajadła sprzeczka w tym względzie. Co do mnie, to w bardzo licznych wypadkach nie miałem sposobności ujrzenia parostków tego rodzaju i przyznam się, że dopiero literatura nowoczesna pouczyła mnie o istnieniu czegoś podobnego.

Interesując się od dawnych czasów tym przedmiotem, oglądałem na wszystkie strony każde zwierzę, gdy tylko miałem ku temu sposobność, poświęciłem wreszcie kilka sztuk ciekawości, gdy ze wszech stron wrzała polemiczna debata w pismach fachowych — jednak z całem przeświadczeniem mogę tu powiedzieć, iż nie miałem szczęścia dojrzeć oczyszczonych parostków koźlęcych nawet w najskromniejszych rozmiarach.

Ciekawą jest jednak rzeczą poznać zdania rozmaite w tym przedmiocie, choćby dlatego, aby się przekonać, jak niemal ogół fachowych ludzi zajmuje się na pozór tak błahą kwestyą.

Tomy V. VI. VII. *Deutscher Jagdzeitung* są przepełnione debatami o parostkach koźlęcych. Już w tomie V-tym (176) jest poruszona różnica pomiędzy bliznami zrzuconych parostków u koźlęcia a takimiż u szpiczaka, z czego wynika, że autor p. Eberhardt uznaje istnienie koźlęcych parostków. Na str. 222 wyraża się Frohreich Deutz bez ogródek, iż parostki koźlęce nie istnieją, a tego samego zdania jest wielki praktyk w tym względzie Raul Dombrowski. I on zaprzecza absolutnie istnieniu t. z. szpiczaka guzikowego (*Knopfspiesser*), niemniej odpiera twierdzenie, iż koźlę już w grudniu parostki oczyszcza. (D. J. Z. VI. 309) Zgodnie z tem powiada Peperkorn-Hellinghusen (D. J. Z. V. 384), iż nie widział koźlęcia z parostkami, słyszał natomiast od starego myśliwego, że koźlę roczne pierwsze parostki oczyszcza (nic nowego). Leśniczy Hahn utrzymuje, że koźlęce parostki nie istnieją.

W plecionce tych różnic i tych zdań podaje profesor Nitsche rysunek parostków koźlęcych w XXXIII „Roczniku Tharandskim“ (str. 72). Leśniczy Becker, czyniąc doświadczenia z dwoma koźlętami w zamknięciu, utrzymuje istnienie parostków. E. P. Schnurbrand z Berlina, trudniący się osadzaniem parostków mówi, iż pomiędzy niezliczoną ilością parostków, jakie mu do osadzania powierzają, znajdywały się oczyszczone parostki koźlęce od kilku do 12 milimetrów długie, a poznał je po miękkości czaszki, która szpilką przekłuć się dawała. W czasie od stycznia do maja obserwował on na tych parostkach linię demarkacyjną, poprzedzającą zrzucenie i dodaje, że jedynie owa linia stanowi granicę pomiędzy guzem i parostkiem, a bez niej możnaby parostka wcale nie zauważać i wziąść go za jedno z wydłużonym guzem (D. J. Z. VI. 417).

Nadleśniczy Frömling nad Renem, w ciągu lat 18-tu obserwował 50 koźląt, a u żadnego parostków nie znalazł. W Tharandzie obserwowano 30. listopada 1885 parostki koźlęce oczyszczone, na 15 milim. długie (D. J. Z. VI. 466). Profesor Nehring z Berlina dziwi się (VI. 507), iż pytanie co do parostków koźlęcych jest jeszcze zawsze kwestyą sporną — podczas gdy hr. Frankenburg (VI.569), pomimo tych wszystkich rzekomych dowodów, pozostaje niedowiarkiem, i twierdzi, że koźlę parostków nie nosi, a to, co o takowych mówią, pochodzi stąd, iż często zwierzę po zabiciu wleczone po ziemi obciera końce guzów ze skóry, co na fałszywe domysły wprowadziło. Dowcipny Raul Dombrowski całą historyę o parostkach koźlęcych „zbyt silną czarną kawą“ nazywa.

P. Lechta w Szarfenszteinie utrzymywał koźlę od listopada 1885 do lutego 1886; w styczniu okazały się u tegoż 5 mm. wysokie parostki zupełnie czyste i bez mchu. Wreszcie (T. VII. 446) rozwinęła się szeroka polemika pomiędzy Raulem Dombrowskim a wywodami Dra E. Olfersa (VII. 362) z Prus Wschodnich.

Lecz dosyć już tych cytatów. Pomimo, iż jest to tylko szczupły fragment tego, co się w tym kierunku nieprzerwanie w fachowej literaturze pojawia, przytoczyłem je z umysłu nie dlatego, jakobym ze stanowiska myśliwskiego zbyt wielką przykładał wagę do tej kwestyi, ale aby wskazać skalę, na jaką prowadzi się polemika fachowa u naszych sąsiadów nawet nad pozornie tak błahym przedmiotem.

Charakter nasz narodowy nie zna zupełnie owej drobnostkowej polemiki, w której celują Niemcy; jednak przyznać im trzeba, że pracą i wytrwałością na tym polu wy-

przedzili wszystkie narody i pokazuje się coraz więcej, iż owe badania t. z. drobiazgów w przyrodzie, w której niema rzeczy wielkich i małych, otwiera potem raptownie cały ogrom wiedzy, której wieki pomniki stawiają.

Ścisłość i sumienność badań u Niemców w podziw może wprowadzić. Interesują się tam gorąco każdym naukowym przedmiotem, i jak z wyżej przytoczonej polemiki widać, występują najrozmaitsze stany do szlachetnej o prawdę walki. Profesorowie uniwersytetów, fachowi myśliwi, szlachta i panowie, amatorowie i dyletanci, rękodzielnicy, których zajęcie dozwala się zapoznać z kwestyą sporną — wszyscy pod jednym strychulcem, a każdy pe swojemu z mrówczą cierpliwością znoszą cegiełki do podjętej budowy. Nie brak czasem stron śmiesznych, nie brak upartej obrony z jednej strony a niepobłażliwości i niewyrozumiałości z drugiej — ale bez tego rzadko kiedy spory się obchodzą. Dowodzi to tylko głębokich przekonań zapaśników, z czego zarazem wynika, iż prawda gdzieś pośrodku leży, i że w tym razie zazula żadnej ze stron walczących nie zakukała, i prawdopodobnie do końca świata nie zakuka.

Ale wpadam znów w nasz swojski błąd i przesądzam rzeczy. Może zakuka. Tymczasem zaś korzystajmy z gotowego i niech nam wystarczy aksyomat, który tej polemice zawdzięczamy, t. j. iż p a r o s t k i k o ź l ę c e s ą r z a d k ą c e c h ą i n d y w i d u a l n ą a n i e c e c h ą r o d u.

Oprócz już poszczególnionych tu parostków, które stanowią cechę indywidualną i do rzadkich i najpiękniejszych okazów się zaliczają (bo przyczyny ich powstawania są zupełnie nieznane), wyszczególnię jeszcze inne kształty, których przyczyny również nie należy szukać w stanie patologicznym. Parostki te wskazują przeciwnie, na szczególnie sprzyjające okoliczności, na bardzo korzystne warunki siedliskowe i wielką siłę indywidualną.

Tu należą parostki o 3 a nawet 4 guzach i tyluż łodygach, parostki o 3 lub 4 różach (jedna nad drugą), zrośnięte w gruby pień wspólny, rozgałęziający się w wysokości kilku cali na 5 lub 6 gałęzi — a wreszcie parostki sarn. Jeżeli dodam, że na wydobycie kształtów teraz wymienionych, jakoteż poprzednio wspomnianych, pracują najrozmaitsze różnice w ukształtowaniu i przekroju łodygi, to z tych wszystkich czynników łatwo pojąć, jaki to chaos form powstaje, jaka różnorodność w każdym względzie. A nie wspominam tu jeszcze zgoła o formach i monstrach, powstałych na gruncie czysto patologicznym.

Przekroje łodygi są koliste, owalne, niemal zupełnie płaskie elipsy, trójkątne z wyraźnem dość odznaczeniem kątów, wreszcie łodygi kanelowane na swej powierzchni, niby słupy doryckie. Ostatnia ta forma występuje szczegółowo u parostków o słabem operleniu a wysmukłych w swej budowie; zdawałoby się, iż przyroda szczędząc materyału, stosuje najkorzystniejsze warunki wytrzymałości mechanicznej.

Na wspomnienie zasługują jeszcze wytwory, które wcale parostkami nie są, lecz mylnie za parostki wziętymi by być mogły. Są to wytwory skóry, nie spoczywające na kostnej podstawie, wytwory rudymentalne, które powstają najczęściej u owiec, a bardzo rzadko u sarn, jeżeli z jakichkolwiek przyczyn nie przyszło do prawidłowego rozwoju parostków. Mamy tu do czynienia z pracą organizmu w celu uzupełnienia w możliwy sposób braków, z pracą często zresztą w przyrodzie spotykaną.

Rzadko trafiające się parostki u sarn nie wykształcają się normalnie (przynajmniej nigdy takich nie widziałem ani o nich nie słyszałem), są zwykle tępe i mniej lub więcej monstrualne. Anomalia ta częściej jednak zdarza się u sarn niż u łań, o czem stare prawią nam dzieje.

Starożytność i średnie wieki pozostawiły nam wiadomość o złotych wieńcach łani. Eurypides, Sofokles, Anakreon, Silvius Italicus, Petrarka i wielu innych wspominają o nich; lecz nas niestety doświadczenie własne i szerokich kół badaczy teraźniejszych poucza tylko o parostkach sarn, i to nie złotych, lecz kościanych i monstrualnie wypaczonych.

U nas w kraju słyszałem po kilkakroć o zabiciu sarny z parostkami, a mniej więcej każdy stary myśliwy „łacinizuje“ coś o sarnach z parostkami. Zjawisko to jest jednak bardzo rzadkie, bo inaczej spotykalibyśmy częściej okazy te po kolekcyach. W ostatnich czasach w roczniku XII. „Łowca“ str. 158, doniósł p. St. Sozański z Siemiginowa o ubiciu tamże sarny z parostkami.

Sprawdzoną już jest po dziś dzień rzeczą, iż parostki u sarn nie są bynajmniej oznaką hermafrodytyzmu, a nawet nie cechują bezpłodności, widziano bowiem takie sarny karmiące, a w innych razach „gruzy“ (piersi) były pełne pokarmu.

Jakkolwiek nie odkryto dotychczas przyczyny powstawania parostków u sarn, gdyż nie są one skutkiem wadliwości organizmu, liczne są na tem polu kombinacye, pragnące bodaj jakimkolwiek blichtrem zapełnić luki niewiadomości.

Jeden z najnowszych domysłów odnosi zjawisko to do jakiegoś kiedyś mającego mieć miejsce zmięszania krwi w rodzinie pełnorożców i usiłuje ujrzeć atawizm w tym objawie (?) (Rütimajer). Inni, z niedowiedzionych jeszcze podstaw wychodząc, tworzą wnioski innego rodzaju, lecz jest to jeszcze zanadto ciemne pole domysłów, abym się mógł i chciał na nie w niniejszej rozprawce zapuszczać.

Wszystkie dotychczas opisane formy porostków, których powstanie nie warunkują jakieś wpływy chorobliwe, lub gdy wpływ taki dotychczas nie dał się sprawdzić — nie należą do tak zwanych „myłkusów“, gdyż biorąc rzecz ściśle, do form myłkusowych należą wyłącznie parostki, powstałe na patologicznym gruncie organizmu.

Wyraz „myłkus“, o ile starałem się zapoznać z wyrazownictwem łowieckiem, nie istniał w dawnej naszej terminologii łowieckiej, a „małkusem“ (jak już użyłem raz tego wyrazu) nazywam kozła w epoce, gdy zrzucił parostki. Jeżeli zaś w rozprawie niniejszej użyję nazwy „myłkus“ na określenie kozła z parostkami chorobliwymi — to uczynię to dla tego, iż często w ostatnich już czasach słyszałem lub czytałem użycie tego wyrazu, odpowiadającego bardzo dobrze swemu znaczeniu. I chociaż wyraz ten nie należy do starej naszej terminologii, to w każdym razie wzbogaca piękny nasz język łowiecki, potrzebujący koniecznie takiego wzbogacenia w obec zmienionych stosunków myśliwskich.

W kolekcyach parostków, na zbiorowych wystawach, gdzie tysiącami spotykamy nagromadzone najrozmaitsze egzemplarze parostków — z pomiędzy których dobitnie do nas przemawia duch wielkiego Buffona: „żadne indywiduum nie jest podobne do drugiego“ — widzieć można najczęściej myłkusy, których przyczyny szukać należy w stanie patologicznym zwierzęcia, z rzadka zaś zdobią owe kolekcyje okazy indywidualnych właściwości. I niedziw, niezliczone są bowiem przyczyny powstania myłkusów, a tylko rzadkie stosunki i zawsze tajemnicą okryte przyczyny wytwarzają parostki inne.

*

Proces regeneracyjny parostków absorbuje w krótkim stosunkowo czasie wielką ilość soków odżywczych, dlatego też wszystko, cokolwiek tylko wkracza w życiowe funkcye zwierzęcia, cokolwiek zwraca odżywcze prądy w inną stronę organizmu, musi bądź trwale bądź przemijająco znaczyć ślady na powstających parostkach i wywoływyć w tychże zmiany chorobliwe, przedstawiające się stosownie do rodzaju przyczyn raz jako zanik, w innych zaś razach jako monstrualne bujanie nowego tworzywa.

Przyczyny powstawania myłkusów mogą leżeć albo w ogólnym stanie chorobliwym całego organizmu, albo powodują je zmiany chorobliwe pewnych części tegoż, a nieraz bezpośrednie i czysto lokalne obrażenia powstających parostków stają się powodem tworów monstrualnych.

Myłkusy, powodowane ogólnym stanem patologicznym, nie noszą zwykle na sobie cech monstrualności (chociaż jej nie wykluczają) lecz po największej części odznaczają się jedynie swą wątłą budową, słabem operleniem i zacofaniem form. Rozpoznanie takich myłkusów jest bardzo trudne, i trzeba być bardzo dobrze obznajmionym z miejscowością, jakoteż z typem, zamieszkującym jakąś okolicę, by w danym razie móc coś pewnego orzec w tym względzie i nie wziąść form indywidualnych lub typowych za myłkusy na gruncie chorób powstałe.

Z chorób ogólnych, które w ten sposób depresyjnie działać mogą na parostki, wyszczególnię tu tylko najczęściej obserwowane, a mianowicie: chorobę racic, biegunkę i czerwonkę, zwykle na wiosnę się pojawiające, charłactwo w skutek zapalenia trzewów niestrawnym drzewnikiem, którego nieraz mocno zbite kule wielkości jaja w trzewach napotkać można, a wreszcie rozmaite cierpienia wątroby a w szczególności motylicę, wyniszczającą nieraz do szczętu cały zwierzostan.

Wszelkie wpływy patologiczne działają rozmaicie, stósownie do pory, w jakiej występują. Najdrastyczniejszym będzie niezawodnie wpływ ten podczas najsilniejszego rozwoju parostków, t. j. od stycznia do marca; ponieważ jednak w wytwórczym procesie parostków spoczynek niemal nie istnieje — wypływa stąd, iż w ciągu całego roku odbijają się wpływy szkodliwe na parostkach, a niezawodnie w zdumienie wprowadzająca różnorodność form myłkusowych musi mieć obok innych również swą przyczynę w rozmaitej intenzywności i jakości oddziaływania szkodliwych wpływów, stosownie do stanu rozwoju, w jakim się parostki znajdują.

Przed kilku laty byłem świadkiem ubicia kozła w sierpniu podczas gonu. Myśliwy, który go bardzo zręcznie kulą położył, był pewny, że ma przed sobą szpiczaka, bo parostki zupełnie na to wskazywały, jedynie tylko grubsze guzy czelne kazały się domyślać, że jest to zwierz starszy. Oględziny uzębienia przekonały mnie, że był to kozioł bardzo stary, co najmniej 8 lat mający, a na poczekaniu odbytu sekcya wykryła motylicę; zresztą był chudy i wcale na kuchnię nie zdatny. Parostki te zachowałem razem z głową, gdyż uzębienie dopiero wraz z nabytem doświadczeniem co do powodu takiego zacofania, nadaje im wartość właściwą.

Zdarzają się wypadki, iż spotykamy kozły z parostkami, jakby niewykończonymi, w porze, gdy objaw taki nie powinien mieć miejsca; co więcej parostki takie ulegają odmianie, to jest zrzucaniu, podczas gdy pierwszy rzut oka przekonuje nas, iż czegoś im do ukończenia kształtów nie dostaje. Czasem różnią się one od normalnych tylko barwą, czasem wyglądają jakby zeschnięte, bez widocznego zaniku kształtów, a często wobec wspomnianej powierzchowności spostrzegać się daje i częściowy zanik łodygi lub gałązek, bądź na obu łodygach, bądź tylko na jednej.

Rzadko w takich razach uda się myśliwemu sprawdzić przyczynę chorobliwego objawu. Mamy przed sobą zwierze pozornie zdrowe, lecz nie wiemy, czy stan obecny zdrowiem nazwać można. Relacye zaś, z jakimi myśliwy zwykle się spotyka, pochodzą od adeptów wprawdzie bardzo poważnej, ale anatomię w sposób barbarzyński traktującej sztuki. Smutne doświadczenia na talerzu w takich wypadkach, mimo przykrości, którymi się je okupuje, nie mogą dać dostatecznego wyjaśnienia w tym kierunku.

Zdaniem mojem formy wspomniane łączą się zawsze z ogólnym jeszcze niezbadanym stanem patologicznym, a wypowiadam to nietylko na podstawie wspomnianego, niebardzo wprawdzie dokładnego doświadczenia, które nieraz w życiu przechodzić musiałem, lecz z uwagi, że cofanie sie w epokach rozwojowych w skutek działania li tylko wpływów bytowych i indywidualnych właściwości, kończy się w regule zanikiem form parostkowych.

(Dokończenie nastąpi).

PAN ROTMISTRZ.

Czarodziejką, ach zalotnicą bywa czasem jesień! Gdy z pod długich cieniów leśnych jak z pod rzęs długich prześwieca różowem światłem poranku — gdy się odzieje brylantami rosy i dłużej je nosi, dłużej nimi kusi niż wiosna — gdy zarzuci na siebie, jak osłonę z brabanckich koronek, wiotkę tkaninę pajęczych nici — ma w sobie tyle uroku, że może oczarować. Nie jest to ciepły blask spojrzenia wiosny, które przyrzeka rozkosze i plony — jestto załzawiony wzrok tęsknoty, ale jakże głębokie w nim jeszcze poczucie szczęścia, ile jeszcze wdzięku, który każe zapominać, że stoimy w przedsionku śmierci — u wrót zimy.

Każdemu może być jesień miłą, cieszy się nią gospodarz, opiewa poeta, podziwia malarz, ale czemże ona jest dla zapalonego charciarza! Gdy konie, puszczone po ścierni, lub po oraninie, doganiają sforę chartów, która daje obroty zającowi lub mykicie — cóż może zastąpić to uczucie swobody i dzielności, jakiego się w tem pościgu doznaje! Heczha! i pościg idzie przez pola i miedze, przez łąki i ściernisko — przesadza się płoty i rowy i pędzi się jakby w nieskończoność.

Po takim właśnie pościgu wypoczywaliśmy na pagórku, okrytym wrzosami i odnawiającą się jeszcze macierzanką.

Szczwacze stali opodal przy koniach. Oparci o siodła rozmawiali półgłosem. Dwie sfory chartów, wziętych już na smycz, leżały, robiąc jeszcze dobrze bokami. Na gałęziach świerka, na skraju niewielkiej remizy, wisiały cztery szaraki i lis, nasza zdobycz. Czekaliśmy na faeton, który miał nadjechać i wygodniej nas dostawić do domu, niż na zmęczonych koniach.

Zalotnica jesień czarowała nas nieporównanymi wdziękami zachodu słonecznego. Przyozdabiała niebo wszystkimi kolorami, począwszy od purpury w zenicie, aż do złotego, złotawego i niemal blado-zielonawego blasku na horyzoncie. Z niskich położeń poczęły się już mgły wydobywać, dymy z kominów wiejskich pięły się prostymi słupami w górę, słychać było zdala jakieś huki i nawoływania, gdzieniegdzie rozbłyskiwały ognie, rozniecone przez pastuchów na polu, a z poza remizy przesiewał już swe łagodne światło księżyc, śpieszący się zanadto na swój nocny posterunek.

Rotmistrz siedział wyżej odemnie i ćmił krótką fajeczkę. Miał już koło siedmdziesiątki, ale dosiadał jeszcze konia i trzeba było widzieć jak genił za chartami. Prowadził też życie bardzo surowe i skromne, jak zakonnik. Żona już nie żyła, córkę wydał, sam był.

Włosy miał jeszcze bujne, lecz białe jak mleko, wąs biały zawiesisty. Twarz jego była w tej chwili, po trudach pościgu, czerwoną jak burak; kark i szyja opalone i również czerwone, na rękach, z których zrzucił łosiowe rękawiczki, wystawały żyły jak splątana łodyga bluszczu na skale.

Zapatrzony w światło zachodu, kurzył lulkę i milczał. Blask zorzy podnosił połysk jego oczu. Na białkach ciemniały wybroczyny drobnych popękanych naczyniek, znamię starości. Krzaczyste białe brwi roztaczały się w łagodnych łukach i nadawały mu raczej wyraz melancholii niż marsa żołnierskiego.

— Więc rotmistrz — rzekłem, ciągnąc rozpoczętą rozmowę — nigdy nie bierzesz udziału w kniejowych polowaniach?

— Nigdy, mój synu!

— Jakto? Ani razu ze strzelbą do lasu? Ależ to nie może być. Pan rotmistrz musiałeś przecież dużo w swojem życiu strzelać.

Rotmistrz ściągnął boleśnie brwi i wytrzepywał fajeczkę na trawie.

— O, polowałem wiele... Lecz poco ty mnie o to pytasz?

— Bo ukochana postać rotmistrza — rzekłem z przymileniem — dopiero wtedy jest w mej duszy całą, gdy ją widzę nietylko na koniu za chartami, ale także z strzelbą na ramieniu, na stanowisku.

— Rozdrapujesz starą ranę w mem sercu — rzekł rotmistrz — ale niech i tak będzie; opowiem ci, dlaczego przestałem polować.

Nastawiłem uszu, a rotmistrz tak mówił:

— Wiesz, że mam córkę zamężną, lecz nie wiesz, żem miał syna. Było to dziecko tak do mnie przywiązane, chłopak rozumny i dzielny, krew z mlekiem... Serce w nim się paliło do wszystkiego, co wielkie i szlachetne, a z lat dziecięcych rwał się już do rzemiosła rycerskiego, dla którego u nas myśliwstwo taką dzielną bywało wyćwiką.

Pędrakiem dwunastoletnim wybiegał już na pole z ptaszniczką i nie powracał bez zdobyczy. Nie broniłem tego, tembardziej że Wasyl — tu wskazał wzrokiem na starego szczwacza — szedł zawsze za nim i czuwał.

Dzieci u nas powinny wcześnie nawykać do trudów, do pokonywania przeszkód, do znoszenia gwałtownych zmian powietrza — a razem z hartowaniem ciała powinny ćwiczyć bystrość spostrzeżeń i sądu, energię czynu, odwagę, wytrwałość. Powinny zresztą poznawać naturę, obcując z nią jak najwięcej, bo tem samem poznają Boga w jego tworach, utrwalają wiarę i kształcą charakter...

Ale co ja ci o tem mówię! Tak sądzę dziś i tak sądziłem przed trzydziestu laty, gdym moje chłopię puszczał swobodnie w pola i lasy. Często chodził i ze mną, a przy tej sposobności uczyłem go jak umiałem zażycia broni, fortelów łowieckich, mówiłem o sposobach życia ptactwa wszelakiego i zwierzyny kniejowej.

Było to dziecko tak pojętne, że chwilami zdawało mi się, iż on to już wszystko wie, i trzeba mu tylko z lekka przypomnieć. Bo dalibóg, że szlachcic polski rodzi się już z fuzyą myśliwską i w strzemionach. Tak się to już te praktyki przez ciąg wieków nagromadziły w charakterze szlachty, że w dziecku wszystko już dane jak w pączku — dmuchniesz słowem ciepłem — i sam nie wiesz, kiedy się kwiat rozwinie, kiedy cię uczeń prześcignie.

O, mój chłopak kroił na gracza jakich mało. Gdy pierwszego jastrzębia z pod obłoków spuścił i podniósł go za skrzydła z ziemi, to oczy mu się świeciły jak dwie błyskawice i był podobny do halnego orła, co potrafi bić na drapieżców z góry i nie chybi. Siła woli i ciosu były tam jak piorun zjednoczone — wszystko zwalczyć, dopiąć swego lub zginąć — ta moc straszna, co człowieka niesie na szczyty lub gubi, widniała już wcześnie w tych orlich oczach...

Nie brałem go jeszcze na polowania kniejowe, choć kończył już rok siedmnasty. Było w tem trochę obmyślanego przymusu, bo źle jest dziecku dać wszędzie się wściubić i wszystkiego z lekka pokosztować, gdy jeszcze nie może na prawdę poznać smaku rzeczy poważniejszej. Robi się w ten sposób tych młodzieńców zblazowanych, tych młodych starców, rodzaj dla wszystkich najnieznośniejszy. A zresztą u mego chłopca złączyłem to z ukończeniem nauk w szkole średniej... Przywieziesz dobre świadectwo — będzie pierwsze na cześć twoją polowanie kniejowe!

Taka stała między nami ugoda, a chłopak miał tyle serca i rozumu, że się nawet nie napierał. Ale się zato uczył. I gdy wrócił z bardzo dobrym końcowym świadectwem, wypadło umowy dotrzymać.

Czekałem, żeby liść opadł i szarak wrócił do kniei, a zresztą chciałem wyprawić tę biesiadę w dzień jego imienin, Szymona i...

...Tu rotmistrz się zatrzymał, sposępniał, wziął się za głowę i milczał chwilę.

— Któregoż to dziś mamy?

— Dwudziesty-ósmy.

— A widzisz, widzisz, jak ja już starą pamięć tracę. A zdawało mi się, że to dopiero jutro... I ty stary cyganie — dodał, zwracając się do Wasyla — pozwoliłeś rotmistrzowi dziś gonić za szarakiem?

Stary Wasyl zaklął się, że także dzień pomylił, rotmistrz sumował jeszcze chwilę, a potem tek rzecz ciągnął:

— Z tym serdecznym chłopakiem moim, z Dziubą, byliśmy już jak dwaj przyjaciele, a nie jak syn z ojcem. Jakeśmy się rozumieli! On wiedził, co ja myślę, ja czytałem w jego czystej duszy jak w czystej krynicy. I jesteśmy ciągle tak razem, czujemy się, może się i dotykamy, tylko że ja Dziuby mojego nie widzę, choćbym nie wiem jak stare oczy rozwarł.

...I rzekłszy to wypatrzył się stary rotmistrz siwymi oczami przed siebie i takie się zrobiły wielkie, jakby same naprzód szły i przestrzeń nieskończoną przenikały.

— I widzisz, nadszedł ów dzień biesiady, w którym na cześć tego dziecka urządziłem niezwykłe polowanie kniejowe.

Cały monterunek kniejowy poprzedził te łowy, nowa strzelba przez kilka dni próbowana, nowa torba i rożek na proch i róg myśliwski i wszystko, co mogło tylko młode serce rozradować...

Był to dzień Szymona i Judy, taki pogodny jak dzisiejszy, tylko straszny, krwawszy miał zachód niż dzisiejszy...

Braliśmy już miot ostatni. Dziubę mojego podziwiali wszyscy. Okazywał niezwykle zimną krew i zręczność. Kilka sztuk zwierzyny miał już ubitych, bo też i zwierzyna szła na niego jak na zawołanie. „Królem będzie! królem będzie!“ wołali sąsiedzi. Ja rosłem w dumie.

W ostatnim miocie wszczął się nagle ruch i wrzask nieopisany. Nie wiedzieć skąd ruszono jakichś kilka odbitych warchlaków. Nie mieliśmy kul, bo ani na myśl nikomu nie mogły przyjść dziki, ale mieliśmy gruby sarniak w lufkach i na całej linii rozpoczęła się kanonada do plączących się warchlaków.

Powstało jak zwykle w takich razach nieco zamięszania.

Chłopak mój stał o trzy stanowiska za mną. Nie widziałem go, bo był zakryty pagórkiem. Strzelali wszyscy i ja się złożyłem w miot do pomykającego i farbującego już wycinka. Trzy strzały padły na raz jakby na komendę...

Po tych strzałach odezwał się krzyk krótki, nie przeraźliwy, ale taki straszny, taki bolesny, że dziś włosy drzą mi na głowie, gdy tylko o nim przypomnę...

Zdawało mi się wówczas, żem skamieniał i wrósł do ziemi — a potem skoczyłem w las...

Było tam już kilku myśliwych... Otaczali mego syna leżącego na ziemi. Kilka sarniaków miał w oku, w skroni, w czole... Zalany był krwią — już nie żył...

Żem sobie tam na miejscu życia nie odebrał — winni sąsiedzi, którzy się ze mną mocowali. Słyszałem jak przez sen, gdy czynili domysły, jak się to stać mogło. W chłopaku, który przez cały czas zachowywał krew nad podziw zimną, zagrał myśliwski temperament na widok dzików. Mimo najjawniejszego niebezpieczeństwa, rzucił się w miot za postrzałkiem. Tu trafiły go czyjeś śróty. Czyje? Sąsiedzi ważyli wszystko sumiennie, a najbardziej zaprzeczali, że to nie moje. Lecz im głośniej zaprzeczali, tem bardziej ja wiedziałem, że to moje, moje, moje własne...

Ciemno się robiło nademną i podemną, gdym o tem pomyślał, targałem się parę razy na własne życie, ale żona — silniejsza w nieszczęściu, jak bywa polska niewiasta — czuwała nademną i pociechy religijne koiły duszę rozdartą. Później szalone jazdy konne i pościgi za chartami zamieniały boleść w odurzenie — ale strzelby już odtąd do ręki nie wziąłem...

Chciałeś wiedzieć — dodał rotmistrz po chwili ciężkiego milczenia — dlaczego nie chodzę do kniei? Ot, masz moją historyę... Dziś już ona popiołem starości przysypana, a syna mego odnajduję coraz żywiej koło siebie w snach i widzeniach. I wiesz, że widzę go takim, jakim byłby, gdyby był dożył tej chwili. Staje się coraz starszym, a widzę go zawsze ze strzelbą przez ramię... Czasem przysiągł bym, że siada koło mnie i rozpoczyna serdeczną gawędę i tak mi miło, tak miło... Ot, dziad stary, widun...

... Słyszysz? Strzał padł w lesie. Kto to może polować, pod noc?...

Szczwacze spojrzeli po sobie i po rotmistrzu zdziwionym wzrokiem.

— Nie, panie rotmistrzu — rzekłem — my nic nie słyszeli.

— Z pewnością strzał był, bardzo wyraźny — twierdził rotmistrz nieco gorączkowo. — O, o!

W tej chwili jeden z chartów zerwał się, warknął zajadle ale bojaźliwie, i nagle wszystkie, wziąwszy ogony pod siebie, tuliły się do nóg szczwaczy.

Konie zwróciły łby ku lasowi i ozwało się wśród nich to dziwne, ciche, krótkie, urwane rżenie, jakby przez sen, jakby tajemny głos porozumienia, ale nie z ludźmi.

Przebijałem wzrokiem zapadającą już ciemność wieczorną — oglądałem się w około — nic nie było widać i żaden szmer nie przerwał ciszy uroczej.

Stary Wasyl przeżegnał się i spojrzał na rotmistrza.

Ten siedział jak przed chwilą, z wzrokiem dziwnie w przestrzeń wytężonym, a jakiś dziecinny słodki uśmiech igrał mu na ustach.

Trwało to krótką chwilę. Niebawem odezwał się turkot na twardej drodze, zajechał oczekiwany faeton i zawiózł nas do domu.

Rotmistrz skarżył się, że za długo siedział na trawie i że dreszcz go przejął.

* * *

Nazajutrz dzień był już jasny, gdy mnie zbudził zapłakany Wasyl.

Rotmistrz w nocy umarł.

Przed kilkunastu godzinami stał jak dąb i jak dąb odrazu gromem strzaskany został.

Znaleziono go w łóżku już zimnym. Zginął rażony apopleksyą, a w pozycyi tak spokojnej, że nic się zapewne nie męczył.

W trzy dni później skruszył czarny rycerz kopię na herbowej tarczy rotmistrza. *St.*

Wycieczka na błota pińskie.

Z relacyi podróżnej F. C. Kellera.

(Dokończenie).

Po dniach nadzwyczajnej pogody nastąpiły dnie smutne. Zimny, drobny kapuśniaczek rosił bez ustanku i cała okolica stała się jednem morzem mgły. Gdy wiatr chwilami rozdarł oponę mglistą, widziałeś zwieszające się z nieba czarne, ciężkie chmury, które wcale nie zapowiadały pogody.

Znaczną część dnia poświęciłem preparowaniu ubitych ptaków, a zresztą zabawiałem się rozmową z miejscowymi ludźmi.

Pewnego wieczora zawiał nareszcie ostry wiatr od północy. Rozlane mgły zaczęły się zbijać w bałwany i pędem

uciekały przez pola i lasy. Zakłębiło się w spokojnem dotąd ciężkiem powietrzu, które leżało jak martwe nad błotami. Czasem mignęło kilka promieni słonecznych i odbiło się w zwierciedle wody. Wstąpiła we mnie otucha, bo wszystko zapowiadało powrót pogody. I w istocie zabłysnął jasny, słoneczny, przeczysty poranek.

Dosiadłszy mego konika, puściłem się żwawo wzdłuż błót, grzbietami niskich pagórków, wśród zeschłej już trawy i krzewów janowcu. Potem, niemal całą godzinę, trzeba było przebywać moczar, w którym jednak woda nie sięgała koniowi nawet do kolan, a więc nie utrudniała bardzo pochodu. Tak przybyłem do wyższego pagórka, dominującego nad moczarami, a okrytego gęstwiną krzewów i drzew.

Tu było moje stanowisko. Towarzyszący mi leśnik odprowadził konia na bok, inni zaś, zatoczywszy wielki łuk, zaczęli gonić.

Strzał z pistoletu dał mi znać, że gon rozpoczęty, drugim strzałem awizowano ruszenie zwierza. I znowu zaległa cisza grobowa. Wreszcie ujrzałem pięć ciemnych punktów na zwierciedle wód. Lorneta objaśniła mnie, że zbliżają się ku mnie dwie duże i trzy mniejsze sztuki łosiów.

Parę razy spostrzegłem, że chciały się w bok wymknąć, lecz zawsze zjawił się jak z pod ziemi leśnik, który je spłoszył. Łańcuch idących zwierząt wydłużał się coraz bardziej. Nareszcie kroczący na przedzie byk wyszedł na mnie na sztych. Wytrzymywałem jeszcze, chcąc go dostać na połeć, lecz w końcu musiałem strzelić. Gwałtowny skok przednimi badylami był odpowiedzią na mój strzał, a gdy byk chciał bokiem po przed stanowisko przemknąć, dostał drugą kulę i padł na miejscu.

Reszta łosiów rozbryznęła się w różne strony, nie zdając sobie na razie sprawy z tego, co zaszło. Wreszcie trzy sztuki rzuciły się na jakie 500 kroków odemnie w zarośle trzcin i szuwarów. Do czwartej, najmniejszej sztuki, która na jakie dwieście kroków odemnie pomykała, dublowałem. Słyszałem uderzenie kuli, lecz dym nie dozwolił mi odrazu ujrzeć, co się ze zwierzęciem dzieje. Zanim jednak łoszuk zdołał dobiec do gęstwiny, zwolnił tempo biegu, stał chwilę, a w końcu znikł w gęstwinie.

Pobiegłem, brodząc we wodzie, na miejsce strzału. Było tam i sporo sierci i obfita farba, częścią jasna, częścią zaś ciemna, świadcząca, że strzał ugodził śmiertelnie. Nagonka chciała natychmiast iść za farbą, lecz ją powstrzymałem, aby dać łoszukowi bliżej zalec i osłabnąć.

Tymczasem ubitego byka wyciągnięto na suchy brzeg; miał on jednę kulę w głowie, dugą w komorze.

Popiwszy na trupa i odpocząwszy dwie godziny, puściliśmy się za postrzelonym łoszukiem, kierując się od gałęzi, która w miejscu postrzału w błoto zatkniętą została. Farba zmięszała się już wprawdzie z wodą, lecz pamiętaliśmy dobrze kierunek, w którym zwierz uszedł. A nie potrzebowaliśmy daleko za nim brodzić; leżał nie dalej jak na dwadzieścia kroków w gęstwinie szuwarów i trzciny, już całkiem bez życia. I ta więc zdobycz została do pierwszej zaniesioną, tu zaś zrobiono silne nosze z wyciętych na prędce pni drobniejszej drzewiny i z tryumfem zaniesiono łosie do drogi, na której czekał wóz zprzężony.

Z całej zwierzyny zostawiłem sobie tylko kawał pieczeni; resztę, dosyć suchą, łykowatą i grubowłóknistą rozdzieliłem między zaganiaczy, co z najżywszą przyjęli radością. Każdy chwycił część zdobyczy i wkrótce znikli mi z oczu.

Następnego dnia naznaczoną była jeszcze jedna wycieczka na łosie, lecz tym razem trzeba było część moczaru, z powodu jego głębokości, przebyć na tratwie. Potem szliśmy przez janowce i niskie, poplątane tarniny. Na jednej grupie wysokich osik ujrzałem gniazda całej kolonii czapel, teraz oczywiście już opuszczone. Tylko pomiot wapnisty, ości ryb, i szkielety młodych, z gniazda wypadłych czapel, świadczyły, że z wiosną musiało tu być bardzo gwarno.

Stanowisko moje znajdowało się tym razem przy końcu wąskiego kawałka lądu, wciskającego się we wody moczaru. Towarzysz mój stanął dalej, już w wodzie, pod samotną z trzęsawisk sterczącą sosną. Nagonka dawno już była ruszyła i strzał dał nam znać, że gon rozpoczęty. Nadaremnie jednak czekałem na drugi strzał, zapowiadający, że zwierza ruszono. Cisza była w około — wreszcie naganiacze jeden po drugim zaczęli się wychylać. Miot był niestety — pusty.

Cóż tu począć? O milę dalej można było wziąć jeszcze jeden miot. A więc w drogę! Wprawdzie najgorszej teściowej nie życzyłbym takiego marszu, jak ten, który trzeba było przebyć, ale koniec końców znaleźliśmy się dość szybko na miejscu. Nagonka już była w ruchu, padł strzał i drugi, a więc łosie są w miocie. Lócz pół wiatru ku zwierzynie, tak czułej jak łosie, nie rokowało dobrze o wyniku łowów. I w istocie łowy się nie powiodły.

Na mnie wyszedł nie wielki byk, a za nim łosza z łoszukiem. Byk pomykał żywo i nie bliżej jak na sto kroków. Wygarnąłem dwa razy, lecz zwierz, nie dając znaku, aby był trafiony, rzucił się potężnym susem na przód ku memu towarzyszowi. I ten dał dwa strzały, ach, lecz także nadaremnie! Ani garstki sierci, ani kropli farby na miejscu postrzału — obaj zatem *in optima forma* wybiliśmy szyby Panu Bogu...

Próbowaliśmy ten despekt zajeść i zapić, ale już nam nie szło: dzień był kompletnie stracony. Rzuciłem się więc w suchą, szczecinowatą trawę i ćmiłem fajkę, niezadowolony i markotny.

Po kilkudniowych łowach w kilku różnych punktach należało przypuszczać, że popłoszone łosie rozbryznęły się i zmieniły swe ostoje. I tak też było w istocie. Nadaremnie wysyłałem nazajutrz tropicieli; wrócili z wieścią, że nigdzie już ani śladu wytłoków nie nadybali.

Ja tymczasem z moim starym wybrałem się jeszcze raz na jarząbki. Lecz i tu nam nie szło, chociaż stary Poleszuk istnych cudów na swoim wabiku dokazywał. Rzekłem więc staremu, aby się z wabieniem na chwilę wstrzymał, a ja spróbuję podejść koguta. Sunąłem się tedy chwilę bez najmniejszego szelestu i zostałem za to niezwykle wynagrodzony. Na krzaku tuż przedemną ujrzałem jakby kulki pierza, spoczywające bez ruchu na gałęzi; było to z pół tuzina młodych jarząbków. Pod krzakiem przysiadała kura nieopodal stał kogut z daleko wyciągniętą szyją.

Cóż to za śliczny obrazek! Lecz poruszyłem się umyślnie — i w tejże chwili spadły młode jarząbki, jak nieżywe grudki z gałęzi, ażeby się zaraz potem zaszyć w liście i trawy, podczas gdy kogut i kura odleciały. Pierwszy raz zdarzyło mi się tak późno, w październiku, widzieć tak małe jarząbki, i dopiero teraz wytłumaczyłem sobie, dlaczego kogut nie chciał przychodzić na wabia.

Ale Diana wynagrodziła mi to idyliczne zachowanie się w obec tej rodzinki, gdyż jeszcze tego samego dnia przytroczyłem piętnaście jarząbków i wspaniałą kanię. Została ona ubitą właśnie w chwili, gdy uderzała na jarząbka i już mu szpony w pierś wbiła.

Lecz nie było już co dłużej w okolicy tej popasać. Zebrałem więc manatki i ze smutkiem moich leśników, którzy się do mnie w ciągu tych kilku dni szczerze przywiązali, ruszyłem w drogę, żegnany okrzykami: do widzenia!

* * *

W dzisiejszych czasach nie robimy sobie nic z dalszych podróży. Siada się wygodnie na kanapce wagonu kolei żelaznej, zapala się cygaro, nudzi się troszkę lub zawiązuje rozmowę z *vis-a-vis* — i tylko ta może cię spotkać przykrość, że jeśli *vis-a-vis* jest zajmujące, właśnie w najciekawszej chwili rozmowy otwiera drzwi konduktor i uwiadamia cię, żeś stanął na stacyi, do którejś wziął bilet.

Inaczej dzieje się to w miejscach, gdzie nie ma kolei. Ledwie siądziesz na taradajkę, już wzdychasz, aby już być u celu podróży, a potem trzęsiesz się jak Bóg da. Mnie przynajmniej Jupiter pluvius traktował przyzwoicie, gdyż nie zesłał na mnie ani kropli deszczu, lecz owszem, mimo jesieni, darzył nieustanną pogodą.

Po całodziennej podróży i przenocowaniu w przydrożnej karczmie, stanąłem szczęśliwie w zamku hrabiego R., gdzie byłem zapowiedziany.

Przyjęto mnie z wyszukaną uprzejmością. Hrabia, człowiek średnich lat, był zapalonym myśliwym. Polował już wiele w różnych krajach Austryi i Niemiec, nie było więc kłopotu o temat do rozmowy.

Dnia następnego postanowiliśmy zapolować, chociaż nie było żadnego ściśle ułożonego programu.

— Świat jest wielki — mówił hrabia z humorem — zobaczymy.

Nazajutrz o świcie wyrwał mnie ze snu prześliczny koncert na rogu myśliwskim. Zerwałem się czemprędzej pełen otuchy i po krótkiem śniadaniu ruszyliśmy w pole.

Powóz pomykał jak strzała. Jechaliśmy wzdłuż lekko wznoszącego się wzgórza, które było na długiej przestrzeni klombami brzóz zarośnięte. Innego drzewa nie było widać w okolicy — wszystko brzozy. Na niektórych drzewach ujrzałem ciemne, do cietrzewia podobne postacie, które się jednak za zbliżeniem naszem nie zrywały.

— To są nasze bałwanki — rzekł hrabia. — Ściągają one przelatujące cietrzewie, które na ich widok zapadają na drzewa. Lecz oto pańskie stanowisko.

Zostawiwszy mnie przy klombie brzóz, odszedł hrabia o jakie sto kroków i stanął pod drugim klombem.

Nagonka rozstawiła się wielkiem półkolem, i na dany sygnał zaczęła powoli cietrzewie ku nam pędzić, trzymając się ciągle linii półkolistej, aby odlatywaniu w bok zapobiegać.

Niezadługo ujrzałem już z daleka, przez rzadką siatkę gałęzi brzozowych, jak się cietrzewie zrywały, to lecąc nisko ku nam, to znowu siadając na drzewach, i wyciągając ciekawe szyje ku następującej nagonce. Wymknął się i szarak, którego hrabia położył, a była to zdobycz niezwykła, bo zające, skutkiem rozmnożenia się rozmaitego rodzaju drapieżców, są tutaj rzadkością.

Wtem stadko cietrzewi wpadło szumiąc między brzozy nademną. Zrobiłem dubletę i dwa młode koguty padły mi do nóg. Równocześnie prawie strzelił hrabia i także dwa cietrzewie ubił. Reszta, przestraszona hukiem strzałów, odleciała poza nas i dopiero w znacznej odległości zapadła.

Nagonka stanęła na chwilę i ucichła, aby się będące jeszcze w miocie cietrzewie uspokoiły. Po półgodzinnym spoczynku poczęła dalej gonić.

Teraz wyleciały na mnie tylko dwa koguty, z których jednego ściągnąłem, drugiego zaś spudłowałem. Na hrabiego wyleciało także całe stadko i znowu dwie sztuki padło z jego ręki.

Jeszcze raz nastąpił spoczynek w gonie i znowu ruszono. Tym razem wyszedłem już z próżnymi rękami, po strzałach hrabiego zaś spadły tylko dwa pióra — ale cietrzewie uleciały.

Na tem skończył się ten miot. Wzięliśmy jeszcze jeden ale tu źle się nam wiodło, gdyż ptaki były spłoszone, a nagonka nie zdołała już linii tak dokładnie jak przedtem zachować. Całą zdobyczą z tego miotu były cztery cietrzewie i głuszec, który się między cieciorki zaplątał.

Wedle opinii hrabiego, było to jeszcze za wcześnie na polowanie tego rodzaju. O wiele lepiej ma się ono udawać, gdy drzewa są już zupełnie z liści obnażone.

Gdyśmy po skończeniu drugiego miotu położyli się na wzgórzu, aby się pokrzepić zakąską i łykiem z manierki, a napoić wzrok widokiem promieni słonecznych, ślizgających się po wodach pomiędzy kępami sitowia i trzciny — doszedł uszu moich jakiś szczególny, drgający ton, zupełnie jak beczenie cieńkiego jelenia.

Co to jest? Wszakże bekowisko dawno się już skończyło. Jelenie, wychudłszy na konkurach, szukały teraz co najlepszej paszy, żeby się posilić, ale nie ryczały.

Hrabia, widząc moje zdumienie, roześmiał się na głos i rzekł:

— Chodźmy poszukać tego zapóźnionego kochanka. Powinien być niedaleko.

Lecz cóż się pokazało? Oto niedaleko od nas, na wzgórku, siedział jeden z naganiaczy i beczenie jelenia naśladował. A szczególny miał do tego instrument. Siedząc na trawie, trzymał między wysoko wzniesionymi kolanami zwyczajny, gliniany garnek, którego otwór był zakryty mocno wyszpanowanym pęcherzem. Przez środek pęcherza i środek dna w garnku przeciągnięty był sznurek, na nim zaś w środku garnka znajdował się próżny orzech włoski z wyciętymi po bokach czterma otworami. Chłop skręcał sznurek, a potem ciągnął i popuszczał, jakto zwykły robić dzieci z tak zwanymi „furkawkami". Przez to wprowadzanym był orzech włoski w ruch wirowy, a wywołane tem fale powietrza wydawały właściwy, drgający ton, który, wzmocniony znacznie przez wytężoną błonę pęcherza, naśladował do złudzenia beczenie jelenia.

Widziałem już raz duże muszle t. z. trytony, a nawet rurkę z perspektywy, na której bek jelenia imitowano — taki jednak instrument dopiero pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się widzieć. Hrabia zapewniał, że za pomocą tego wabika udało się już chłopu nieraz jelenia na strzał zwabić. A chłop twierdził, że wynalezienie garnka, któryby miał dobry ton, należy do wielkich trudności. Był to zwyczajny niepolewany siwak.

Następnych dni chodziliśmy na cietrzewie z psem. Pies nie był wprawdzie wyżłem czystej rasy, ale praktyk nadzwyczajny, z cietrzewiem dobrze obeznany. Ponieważ ptactwa było dosyć, przychodziliśmy często do strzału i zawsze z obfitą zdobyczą wracaliśmy do domu.

W okolicach tutejszych zdarza się często słyszeć i w porze jesiennej, od wczesnego ranka aż do przedpołudnia, tokujące cietrzewie, czy to na drzewie, czy na ziemi. I w Alpach bywają jesienne tokowania, lecz nigdy tak długie i tak często jak tutaj. Zdaje się czasem, jakgdyby jeden kogut drugiego chciał przekrzyczeć, a nieraz mięszają się i ochrypłe głosiki kogucików do tego koncertu.

Dwa razy słyszałem także tokującego głuszca, ala znacznie później i mniej donośne, niż na wiosnę. Na tokowiskach wiosennych nie zwykli tu polować na głuszca. Polowania z psem lub z nagonką to zaś mają do siebie, że chociaż kogut i kura upierzeniem swem się różnią, trafi się przecież, mimo największej ostrożności, że i kura padnie po strzale. Ponieważ jednak ptactwo to obficie się tu wywodzi, nie przyczyni się strzał mylny do wytępienia tegoż.

Zauważałem także, iż cietrzewie tutejsze nie są tak bardzo płoche jak nasze. Baczniejsze oko zwracają one na jastrzębia lub tumaka, których tu jest dużo, niż na zbliżającego się człowieka. Gdyby więcej tępiono te drapieżniki i lisa, to mogłaby tu obfitość cietrzewi znacznie być większą, niż w najbogatszych rewirach Szwecyi i Norwegii.

Przepędziłem dłuższy czas u hrabiego R. jak najprzyjemniej. Lecz wypadło mi nareszcie wracać. Obrawszy więc inną drogę, nie na Dąbrowicę, lecz na Łuck i Równo, wróciłem przez Lwów do domu.

Przeł. *J. St.*

Po polowaniu.

Rozmowa leśniczego z gajowym.

— No, Semku, napij się wódki
I powiedz, jak to tam było —
Tylko mów prawdę — inaczej
Na tobie by się skrupiło.
— Ta, proszę ja jegomości,
Stali panowie przy zrębie,
Nagonka iszła od góry.
Ostatni przy wielkim dębie
Stał ja. Chłopaki ruszyli
I padły pierwsze dwa strzały,
Gdym ujrzał górą dwa lisy,
Jak przed nagonką zmykały.
Potem w bok patrzę i widzę,
Ostatni z panów, co stali,
Strzelbę podnosi — odkłada —
Nareszcie mierzy i wali.
Zerknął oczyma dokoła,
Bih-me, nie kłamię, niech zginę,
Zawiesił strzelbę na szyję
I poszedł prosto w gęstwinę.
Za chwilę wyszedł. Zdjął czapkę,
Obcierał czoło od potu
I wolno zeszedł na linię,
A ja, z za dęba — do miotu.
Uszedłem kroków czterdzieści
I widzę: sarna na ziemi,
Ino tak trochę pidruca
Jeszcze nohami przedniemi.
— Co mówisz?
— Bih-me nie kłamię,
Zawsze tak robią panowie,
Kozła zabierze, a sarnę
Lisom zostawia w parowie.
Ale ja drę się na przełaj
Krzakami szybko w tę stronę,
Gdzie ten pan wyszedł na linię
Obcierać czoło spocone —
I robię łomot nie mały,
Więc on przystanął i słucha,
Wtedym ja wyszedł i szepnął:
„Sarna“ ukradkiem do ucha.
„Nie mówże człecze!“ rzekł „Cicho!
To tak z przypadku głupiego,
Cicho!“ rzekł, klapnął mnie w ramię
I dał mi w rękę srebrnego.
— Któryż to, który? — A Semko,
Jak się namyślać nie lubi,
Skrobnął się w głowę i wyrzekł:
„Toj z rudą bródką i hrubyj“.

L. G. Dziubiński.

GAWĘDA STAREGO CHARCIARZA.

Każda pora roku ma swoje powaby. Przyznać jednak należy, że młodość potęguje te powaby do wysokiego stopnia.

Wiadomo, że nic smutniejszego nad głęboką i głuchą jesień, szczególniej nad ponury listopad, gdy nadto jeszcze ziemia bywa przykrytą białym całunem śniegu. A jednak, pamiętam z jaką to ongi niecierpliwością młodzież tego listopada wyglądała, gdy ruń ozima należycie się zazieleni, podorki jesienne — tak zwane u nas ziemble — trochę opadną, wysokie ścierniska się udepczą, aby w dobranem gronie towarzyszy, a kto niecierpliwy samotrzeć i samowtór nawet, z własnymi szczwaczami, wyjechać nareszcie z chartami w pole, na tego biednego szaraka. Nogi nieraz marzły w strzemionach, ręce grabiały od trzymania cugli, całe krótkie ubranie myśliwego, owa tradycyonalna lisiura, lub barani kożuszek, pokrywały się lodem na podobieństwo karmelka, mimo to wszystko, z jakiem to drżeniem oczekiwało się wyskoczenia nieszczęśliwego zająca z pod miedzy, i z jaką szaloną werwą pędziło się za nim na złamanie karku, przez pola i łąki, przez góry i doliny, błota i moczary, krzycząc zajadle na całe gardło: Hejże ha, hejże go ha, hejże go ha!

akby błagając kochane pieski, aby mu obroty dawały i do lasu nie dopuściły. Koń i jeździec stanowiły wówczas jedno; nie wiadomo, kto z nich był więcej zapalonym; wiedzieć bowiem należy, że niektóre konie na równi z ludźmi bywają zawziętymi myśliwymi. Najpowolniejsza szkapa, którąby w dyszlu rozruszać niepodobna, staje się ognistym rumakiem, gdy poczuje charty spuszczone ze smyczy. I to jest zaletą prawdziwego konia myśliwskiego.

Ileż to niewypowiedzianych rozkoszy odczuwałem nieraz, na znany odgłos: „na heco! na heco!“ oznaczający zająca upatrzonego to jest siedzącego spokojnie z wytrzeszczonymi ślepiami w miejscu, czyli w swem dziennem legowisku. Zgrabne zacechowanie zająca, i umiejętne objechanie go z chartami, skomlącymi na smyczy, tak, aby został dobrze poszczutym, jest marzeniem każdego prawdziwego charciarza. A jednak, dostaje się to zwykle w udziale służbie, to jest zawodowym szczwaczom, którzy jako synowie natury mają doskonałe oczy, nie sterawszy ich za młodu nad książką i pismem. Moment taki bywa pełen emocyi, jak każda na tym świecie nieutracona jeszcze nadzieja. Jeżeli wyprawa myśliwska liczna i uczestniczą w niej amatorowie, współubiegający się o dobroć chartów, to wtedy właśnie przedstawia się pole do należytego ich wypróbowania.

Pamiętam szczucie takie dwoma sławnymi chartami, Asem i Dwójką, szczucie, które co do epizodów i wydania sądu o rączości psów, porównane być mogło do owego słynnego pościgu Kusego z Sokołem, opisanego mistrzowskiem piórem A. Mickiewicza w „Panu Tadeuszu“. Zdaje mi się, że patrzę na tę scenę, a jednak z górą 30 lat, jak ona miała miejsce.

Po każdem poszczuciu, gdy rozbiegane charty na smycz brać należy, ileż to opowiadań, przechwałek o rączości tego psa i o chyżości tamtego. Który z nich naprzód doszedł do obrotu, która to suka pierwsza z zającem się potoczyła, jaki to stary pies, pozostając z tyłu, ciągle zabiegał od lasu, i w danej chwili, natężywszy wszystkie siły, jak z pistoletu dopadł biednego szaraka, i ostatecznie zapewnił zwycięstwo.

Bywają też zające i zające, jeden drugiemu nie równy. Długi, siwy zając, przysiadujący zwykle w głębi lasów i spotykany w polu tylko w czasie opadania liści, nie bywa straszny dla chartów; lecz gdy w szczerym stepie spotkasz krótkiego, rudawego, na wysokich skokach zająca, który, leżąc gdzieś pod miedzą w swej kotlinie, przy wyskakiwaniu z miejsca strzepnie tylnymi skokami, otrząsając je z nalepionego błota i słuchy położy po sobie — to możesz być pewnym, mój miły towarzyszu, że to gracz, że daleko on twe pieski poprowadzi, że bez wielkiego wysiłku, uciekając wysokimi miejscami, miedzami a nawet nieraz i bitymi drogami, najczęściej nie dopuści je do obrotu i tak ci zniknie z oczu, że weseli koledzy złośliwie zaopiniują, iż chartom twoim „mydło wozić za tutejszymi zającami.“ Jest to odwrotna strona medalu w zwykłem charciem polowaniu. I zdarza się to nowicyuszom, którzy z innych prowincyi poprzybywali pochwalić się własnymi psami. „Co kraj to obyczaj“ powiada dawne przysłowie. Snać że charty, a szczególniej zające nasze, mają swe obyczaje.

Inna rzecz, gdy się spotka lisa myszkującego w polu. Na tego szkodnika drobnej zwierzyny, trzeba charta nie tyle rączego, ile śmiałego.

Bywają lisy mniejsze, ciemniejsze, zwane pospolicie żmijkami; takiego lisa cała psiarnia wiankiem otoczy, a żaden pies go nie skubnie, bo zmykając pluje im w oczy i salwując się tym sposobem od pewnej śmierci, najspokojniej ucieka do swej nory. Lecz z pospolitym lisem, jeżeli charty potemu, rozprawa krótka, i nic mu nie pomoże, ani kołowanie na miejscu, w czasie gdy psy dalej się unoszą, ani rzucanie kitą dla ich zmylenia, lub zajadłe odgryzanie się w ostatniej chwili.

Zdarzało mi się nieraz, w srogą mroźną zimę, gdy zgłodniałe lisy nie są wstanie myszkować z powodu głębokich śniegów i zbierają po drogach kawałki zmarzniętego końskiego pomiotu, zdarzało się więc powiadam, brać w parę godzin po kilka pięknych lisów, w jednego a najwięcej w dwa dobre charty. Wyjeżdżałem zwykle jednokonnymi saneczkami, mając pod wilczurą służącą do okrycia nóg mego faworyta Ścinaja, pięknego siwego, kosmatego wołoskiego charta. Doświadczony mój szczwacz, Prytuła, wyjeżdżał tak samo z drugim psem. Znaliśmy doskonale lisie przesmyki i wybieraliśmy dzień mroźny z lekką śnieżną zadymką, kiedy lis najswobodniej myszkuje. Ja jechałem pomału drogą, a Prytuła bił się po głębokim śniegu, brzegiem lasu. Spostrzegłszy drugiego nieprzyjaciela, tracił lis głowę i z łatwością dostawał się do sanek.

Daleko ostrożniej należy z nim postępować, gdy się stoi konno ze smyczą chartów pod knieją, obrzuconą sieciami, w której kilkanaście sfor dobrych ogarów donosłem swem graniem, podtrzymywanem głośnem hukaniem i paleniem z harapów swych dojeżdżaczy, wypłoszą wszystko do najmniejszej wiewiórki. Muzyka taka, w której odzywają się grube basy starszych ogarów i dyszkantowe głosy reszty psiarni, zelektryzować może każdego, a cóż dopiero powiedzieć o prawdziwym myśliwym! Lecz i lisy, znajdujące się w kniei, tembardziej nie są na nią obojętne. Trzaskanie z harapów i gęste wystrzały ze strzelb na kulcu (skrzydle) do reszty ich wystraszają. Mimo całej swej lisiej chytrości, widzą, że tu idzie o ich życie, i że nastała ostateczna dla nich godzina. Ogary, goniące je po tropach po gęstej rosie, wprawiają w rozpacz — lisy obiegają knieję, ze wszech stron otoczoną wysokimi sieciami; nareszcie trafiają na miejsce zostawione umyślnie wolnem, lecz i tu przewidują nieznane im niebezpieczeństwo. Przedstawia się ono pod postacią myśliwego charciarza, który ze smyczą chartów, leżących cicho u nóg konia (prawdziwa zaleta dobrego psa) zamienił się rzeczywiście w kamienną statuę; tak ostrożnie bowiem stać należy na skraju lasu. Lis widzi go z boku i stara się chytrze i niespostrzeżenie wymknąć się gęstym jarem, aby dalej zakryty miedzą zmykać w pole. Lecz i charciarz wprawnem swem okiem, znając wszystkie fortele lisiego rodu, z pewnością go nie prześlepi. Stoi nieporuszenie, wąsem nawet nie mrugnie, i wypuściwszy trochę lisa po za siebie, aby go nie poszczuć w oczy, przez co niechybnie wróciłby się do kniei, w danym momencie psychologicznym spuszcza psy ze smyczy i goniąc na oślep konno, głosem je zagrzewa, póki lis, przytroczony za głowę, a nie jak zając za skoki, zawiśnie z tyłu za jego siodłem.

Przytraczać lisa trzeba za głowę, gdyż bywały wypadki, że niedoświadczony młody myśliwy, przytroczywszy lisa za nogi, miewał konia szkaradnie pokaleczonego przez lisa, który poprostu duch w sobie zataił. Nic bowiem niema uporczywiej żyjącego, jak to psiarstwo.

Józef Dunin-Karwicki.

Z OBCYCH ŚWIATÓW.

Na stokach Himalajów.

Zapiski angielskiego oficera.

Było to z końcem kwietnia. Wziąwszy urlop, wyjechałem z miejscowości Mussorie, położonej u stóp południowych stoków himalajskich. Zamiarem moim było przebuszować z strzelbą w ręku niższe partye olbrzymiego łańcucha gór, dzielącego Indye od Tybetu.

Wyprawa moja składała się z 12-u ludzi. Byli tam dwaj dobrze z okolicą obeznani indyjscy „szikari“, służący, czyli t. z. khitmudgar, będący oraz kucharzem, ośmiu tragarzy i chłopak, który nosił pakunek moich szikarich. Konia nie mogłem brać, gdyż ścieżki, wiodące z Moussorie do najbliższych gór, są tylko pieszym dostępne. Ciągną się one po największej części wzdłuż górnego Gangesu, który wypływa wysoko w górach koło Gangetri, miejscowości, znanej dobrze Hindusom z pobożnych pielgrzymek.

Niemal aż do granicy śniegów znaleść tu można wszędzie wioski, lecz w nich dostaniesz tylko mleka i grubej mąki, zwanej „attar“. Lemieszką, sporządzoną z tego attaru, żywili się moi ludzi, gdyśmy nie mieli zwierzyny w obozie. Na moją potrzebę wziąłem herbaty, cukru, parę szynek i ozorów, kilka puszek sardynek i sucharków, oraz trzy tuziny flaszek piwa i 4 flaszki koniaku. Wszystko to mieściło się w używanych tu do dźwigania długich koszach. Zresztą miałem z sobą namiot, łóżko polowe, kuferek skórzany z rzeczami i bielizną, kilka książek, amunicyę i broń, umieszczoną w wełnianych, ceratą powleczonych futerałach, znacznie praktyczniejszych na słotę niż futerały skórzane. Łóżko okazało się bardzo pożądane, gdyż noce tu są dokuczliwie zimne, a że niemal codzień deszcz padał, więc łóżko stanowiło jedyne suche miejsce, na którem można było wypocząć. Ludzie moi nocowali pod gołem niebem, jeśli nie znaleźli przypadkowo schroniska w opuszczonym szałasie pasterskim lub w zasłoniętych od deszczu załomach skalnych.

Zwierzynę tej części gór himalajskich stanowią: t h a r, rodzaj dzikiej owcy; g u r a l, zastępujący tu kozicę krajów alpejskich; k a k u r, czyli t. z. jeleń szczekający, gdyż ochrypły głos jego przypomina nieco szczekanie psa; g e r r o, jeleń zupełnie taki jak „sambur“ indyjski; b u r e l, dzika koza, większa od thara a trzymająca się tylko na granicy śniegów; nakoniec więcej znany, piękny p i ż m o w i e c i d z i k dosyć częsty. Ptactwo łowne reprezentuje b a ż a n t w kilku gatunkach, między nimi a r g u s i czarna k u r o p a t w a, trzymająca się uprawnych dolin. Niedźwiedzie i lamparty trafiają się tu często, tygrys natomiast jest wielką rzadkością. Koziorożców, zwanych m a r k o r i y a k, które przebywają na północnych stokach Himalajów, nie znają tu wcale. Nie ma także wspaniałego jelenia kaszmirskiego z wieńcem o 12-u końcach, zwanego B u r a - S i n g h a.

D. 6. maja, stanąwszy w małej wiosce Silladur, wyprawiłem się na thara. Przez cały ranek deszcz padał, dopiero więc o godz. 2-ej popołudniu można było wyruszyć. Dostawszy się na sąsiedni szczyt, zlustrowałem przez szkła całą okolicę, lecz nigdzie żadnej owcy dzikiej dostrzec nie mogłem. Wracając, ujrzałem na pokrytem kamieniami urwisku niedźwiedzia, który zajęty był cały obracaniem kamieni i wyszukiwaniem mrówek pod nimi.

W towarzystwie obu moich szikarich zbliżałem się ku niemu ostrożnie, co nie było łatwem, gdyż szliśmy po uboczy zupełnie otwartej. Tak zbliżyliśmy się na 80 kroków do niedźwiedzia, gdy wtem jeden ze szikarich stąpił na suchą trzcinę. Trzask jej ostrzegł niedźwiedzia przed niebezpieczeństwem; począł uciekać. Wtedy, nie namyślając się długo, strzeliłem za uciekającym. Musiałem go dosiągnąć, gdyż przez chwilę miał ochotę rzucić się na nas, lecz wnet namyślił się inaczej i wpadł do gęstwiny trzcinowej. Na miejscu strzału znaleźliśmy farbę i szliśmy za nią aż do zapadnięcia zmroku, ale w końcu, nie znalazłszy niedźwiedzia, musieliśmy dać pokój pościgowi.

Następnego dnia wyruszyłem wcześnie rano i po uciążliwem wspinaniu się, przeważnie przez gąszcze rododendronów, dostałem się na grzbiet skalisty, z którego szeroki był widok. Lustrując całą okolicę przez szkła, odkryłem wnet pięć dzikich owiec, które stały głęboko podemną na stoku bardzo spadzistym. Starałem się tedy, idąc na złamanie karku, dotrzeć do nich, gdym jednak dobił się do skały, przy której je ujrzałem, — już ich tam nie było. Podczas gdy ja się na dół spuszczałem, one ruszyły ku górze, i teraz były w takiej wysokości nademną, jak pierwej ja nad nimi. Udało mi się wreszczcie podejść do nich na 300 kroków; dalsze podchodzenie było niemożliwe, z tej więc odległości strzeliłem — oczywiście nadarmo!

W ciągu tego samego dnia trafiło mi się przecież dać jeszcze jeden strzał i to lepszy. Spotkałem thara, który stał na samym brzegu głębokiej przepaści. Gdym do niego strzelił, spadł w przepaść, do której przystęp był bardzo trudny, tem bardziej, że ściemniać się zaczynało. Musieliśmy go więc tam zostawić, a gdy nazajutrz rano ludzie moi poszli, aby go zabrać, znaleźli już tylko szczątki kości, głowę i rogi.

Niewątpliwie znalazł go w nocy lampart i sprzątnął nam z przed nosa.

Dzień 8-go maja przesiedziałem w obozie. Zatrzymały mnie burze gwałtowne i choroba khitmudgara, którego dokuczliwe i zjadliwe bąki tutejsze tak zcięły, że się na nogach nie mógł utrzymać.

D. 9-o maja ujrzałem rudel tharów, złożony z 7-u starych sztuk i 4-ga jagniąt. Zbliżyłem się ku nim na 400 kroków, lecz dalsze posuwanie się było wprost niemożliwe. Spróbowałem więc broń mą na tę odległość, wiedząc z góry, że strzał będzie daremny. I byłem sam z siebie niezadowolony, żem to uczynił, bo takie za dalekie a bezowocne strzały niepokoją tylko całą okolicę i utrudniają dalsze poszukiwania.

Spuściwszy się na dół, odpocząłem chwilę na tarasie skalistym i puściłem się dalej cicho i ostrożnie pomiędzy załomy skalne. Nagle, tuż przed sobą, na 100 kroków ujrzałem cztery thary. W mgnieniu oka zmierzyłem się do najgrubszej sztuki. Strzał padł, i baran się przewrócił, ale spadł

*

ze ściany co najmniej na 30 metrów wysokiej. Kula moja złamała mu kość pacierzową, ale upadek ze skały nie uszkodził żadnej kości. Baran był łojny i tak duży jak zwyczajne barany. Ludzie moi natrudzili się dosyć, żeby go wydobyć z jamy, w którą spadł. Lecz zato wieczorem spożywałem kotlety z dzikiego barana, a ludzie moi tak się mięsem objedli, że się ruszać nie mogli.

Nie spotkałem dotychczas piżmowca; zdybałem tylko resztki tego zwierzęcia, prawdopodobnie przez lamparta niedojedzone.

Dnia 10. maja, gdym się zbudził, ujrzałem nie bez zdziwienia ziemię śniegiem okrytą. Gdy i w ciągu dnia śnieg padał, musiałem siedzieć bezczynnie w obozie. Przydały mi się w dniu tym wzięte ze sobą książki.

Następnego dnia rano wyjaśniło się. Na dołach zniknął śnieg, tylko szczyty gór były jeszcze białe. Dnia tego ujrzałem ogromnego barana, stojącego na płycie skalnej. Był to prawdziwy „Ihotah“, jak mieszkańcy starega thara zowią; kudłaty jak niedźwiedź, z rogami wspaniałymi. Gdyśmy go oglądali, położył się, ale nie przestał być czujnym, spozierał bez ustanku na około siebie, tak, że trudno było na strzał go podejść. Po dalekiem okrążaniu i mozolnem wspinaniu się, udało się nam wreszcie zbliżyć się doń na 250 kroków. Legliśmy dobrze zakryci i naprzeciw wiatru za skałą, ale o dalszem posuwaniu się przez teren otwarty a poprzecinany parowami, nie było co myśleć. Zdecydowałem się więc strzelić.

Baran podskoczył po strzale jak na sprężynie i zdawało mi się, że rzucił się poza skałę. Byłem pewny, żem go chybił, lecz towarzyszący mi szikari innego był zdania. Podczas gdy ja zapaliłem fajeczkę, on poskoczył na miejsce strzału, i z podziwienia godną zręcznością przesuwał się przez najniebezpieczniejsze miejsca. Wkrótce powrócił i przyniósł mi odstrzelony koniec rogu. Parę cali niżej, a potężny thar byłby się stał moją zdobyczą.

Wracając do obozu zdybałem świeży pomiot jelenia gerro i postrzeliłem gurala, lecz z powodu nagłego a ulewnego deszczu nie mogłem iść za postrzałkiem.

Zmęczony, przemoczony i niezadowolony wróciłem do obozu po dziesięciogodzinnem łażeniu. Na domiar nieszczęścia znalazłem mego khitmudgara w gorączce i musiałem sam obiad gotować.

Nazajutrz deszcz i wicher nie pozwoliły mi wyjść rano. Dopiero w ciągu dnia ustał deszcz, a gdym wyszedł popołudniu, udało mi się ubić gurala. Strzelałem do niego bardzo daleko i niemal pionowo na dół. Kula złamała mu kość pacierzową, tak, że został na miejscu, ale ludzie moi musieli się wiele napracować, nim go z przepaści wyciągnęli.

Czas był bardzo brzydki i nie należało wcale do przyjemności przebijać się przez mokre krzaki, podczas gdy lodowy wiatr do szpiku kości przenikał.

Khitmudgar pozdrowiał już trochę, lecz zato najlepszy mój szikari wbił sobie kolec jakiejś trującej rośliny w wargę, w skutek czego mocno zapuchł i pewnie przez kilka dni nie będzie zdolnym do wycieczek.

Dnia 13. maja przeniosłem się z moim obozem do Rhoné. Znalazłem tu w wąskim jarze skalistym stósowne miejsce, gdyż daleko wystające płyty skalne chroniły nas jak dach od deszczu. Po drodze udało mi się do tharów strzelać i oba trafiłem, lecz tylko jednego zdołaliśmy po farbie odszukać.

Pomimo, iż zmieniwszy siedzibę, na całkiem nowym terenie polowałem, uważałem przecież, że owce są bardzo niespokojne, tak, że trudno mi było na strzał się podsunąć.

W ciągu nocy niepokoił lampart nasze obozowisko. Psy ujadały okropnie, lecz było zbyt ciemno, ażeby do rabusia strzelać. Moi ludzie mówili mi, że lamparta można w nocy za pomocą latarki ubić, gdyż zbliża się z ciekawości do światła.

Dnia 14. maja lał deszcz przez całą noc, a zarośla były tak przemoczone, że przesunąwszy się przez nie, zmokłem do nitki. Dostawszy się na najbliższy szczyt, ujrzałem przez binokle cztery dzikie owce, które uciekały. Puściłem się za nimi, lecz miałem tyle trudności terenowych do przezwyciężenia, żem je dopiero wtedy znów zobaczył, gdy zamierzały ukryć się za wyskokiem skalnym. Złożyłem się szybko i strzeliłem do najgrubszej sztuki. Miałem to poczucie, że kula moja dobrze ugodziła, chociaż szikari o tem powątpiewał. Na szczęście tragarz, który szedł za nami i w tyle nieco pozostał, widział thara spadającego i w istocie znaleźliśmy go następnie u stóp skały.

Gwałtowna ulewa zmusiła mnie popołudniu do odwrotu, lecz jeszcze raz przyszedłem do strzału na thara i postrzeliłem go, nie mogłem wszakże czynić poszukiwań za postrzałkiem, bo strumienie deszczu spłukały w jednej chwili farbę.

Chodzenie za postrzałkami w tych górach i przepaściach jest z niesłychanymi trudnościami połączone. Trzeba też wybornie strzelać z sztućca, żeby w ogóle coś zdobyć, gdyż bardzo rzadko udaje się myśliwemu podsunąć bliżej pod zwierzyną. Zazwyczaj strzela się na 120 do 150 kroków, a częstokroć na jeszcze większą odległość.

Pod wieczór wyjaśniło się niebo, ale było już za późno ażeby się na nowo do łowów zabierać. Dla zabicia czasu rozpakowałem więc mój kuferek z rzeczami. Wszystko w niem było wilgotne, pleśń rzucała się na suknie, trzeba je więc było przy ogniu przesuszać. Nazajutrz, przy niedzieli, rozebrałem mój sztuciec, aby go gruntownie przeczyścić, gdyż wszystkie żelazne i stalowe przedmioty rdzewieją nadzwyczaj prędko w tym tu górskim, wilgotnym klimacie.

(Dokończenie nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Z pod Brodów w październiku.

(Skarga charciarzy).

W projekcie ustawy łowieckiej jest powiedziane, że od charta ma się płacić 10 zł. To niesprawiedliwe! Już jak ma być opłata, to nie większa od smyczy chartów, jak od strzelby, bo przecież u myśliwego chart i strzelba jedną usługę oddają. Panowie strzelcy, którzy sami ustawy dyktują, powinni być sprawiedliwi. Przecież charciarzy jest dużo w kraju, a pola jest więcej niż lasu, i pasya myśliwska równa u jednych jak u drugich, — więc na cóż na charciarzy nakładać kontrybucyę?

Niejeden mówi, że charty same chodzą w pole i wyłapują zające. Zapewne, że to źle! Ale na to można nałożyć karę. Lecz w takim razie trzebaby także nałożyć karę na złe strzelby — bo ileżto zwierza postrzelonego ginie pewnie więcej, niż charty same złapią w polu.

A więc, panowie strzelcy, niechże będzie równouprawnienie, niechaj smycz chartów kosztuje tyle, co karta noszenia broni. Bądźmy sprawiedliwymi. Charciarze wam strzałów nie zazdroszczą, to wy im nie utrudniajcie szczucia.

Piszę „oni", bo już dziś chartów nie trzymam, ale jako Ukrainiec lubię charcie polowania i zaliczam je do chwil bardzo miłych, tak dalece, że trudno by mi było wybierać, co wolę: czy na dobrym koniu szczuć na stepie gracza zająca, czy na stanowisku z bijącem sercem oczekiwać zwierza, który na ciebie idzie. Naprawdę trudny wybór. A cóż dopiero takiemu, który niema dobrego wzroku i ze strzelbą iść na łowy nie może, a nadewszystko z chartami lubi polowanie?

Marceli Tyszkiewicz, Delegat brodzki.

Stanisławów dnia 27. października.

(Stosunki myśliwskie na Pokuciu. — Jeszcze o kaczce.)

Posucha tegoroczna dała się we znaki tak rolnikom jak i nam myśliwym. Prawie zapomnieliśmy jak kszyk wygląda, bo błota nasze zupełnie powysychały, a długodzióba rzesza wyniosła się gdzieś w dalekie strony, nie mogąc znaleść żeru. Przepiórek w tym roku mieliśmy dość dużo, choć nie tyle co w roku zeszłym, kuropatw zaś bardzo mało, czego powodem głównie brak należytej ochrony.

Wobec sprzyjającej wiosny, zające rozrodziły się w tym roku bardzo licznie, niestety jednak mało który szarak jest u nas — t. j. w najbliższej okolicy Stanisławowa — tak szczęśliwym, by dożył pierwszej ponowy i zginął przed nagonką, przeważna bowiem ich ilość ginie codziennie, na polu przed wyżłami. Dlatego to, mimo korzystnego położenia i wszelkich nader sprzyjających warunków, stan zajęcy w tutejszych kniejach okolicznych nigdy podnieść się nie zdoła, bo na życie biednego szaraka dybie potężny zastęp myśliwych miejskich, których najulubieńszem polowaniem jest polowanie z legawcami na zające.

Wiadoma rzecz, że przed dobrym wyżłem przeciętny strzelec prawie każdego zająca ubija, a wiem z własnego doświadczenia, że na 4 przed legawcem ubite zające, padają przeciętnie 3 samice, bo samica zawsze twardziej leży w kotlinie i psa bliżej dopuszcza, podczas gdy samiec na większą odległość wstaje i łatwiej uchodzi strzałom myśliwych. Wielka też to klęska ci myśliwi, co za słonkami szukać nie lubią, bo to strzał trudny i zdobycz nie łatwa, a na szaraka godzą, bo strzał pewny a pieczeń większa!

Cietrzewi mamy w tym roku wiele, zwłaszcza w Nadwórniańskiem: jak w Kamiennej, Wołosowie; także w Winogradzie leśnym i Woronie powiatu Tłumackiego. Piękny ten ptak — prawdziwa ozdoba kniei naszego Pokucia — rozpowszechnia się coraz bardziej i dziś znaleźć go można także w całem Kołomyjskiem, gdzie dawniej był rzadki. Słonki bardzo nielicznie w tym roku nas odwiedziły, czego przyczyną także posucha; na wielkich obszarach znachodziłem ledwie pojedyncze słonki.

Dziki do niedawna były wszędzie; teraz, gdy już brakło żeru w polu ściągnęły, się prawdopodobnie do głębszych i górskich kniei, gdzie wnet za nimi poszukamy. Przed dwoma tygodniami padła piękna samura na polowaniu w Tyśmieniczanach z ręki p. starosty Wł. Chądzyńskiego, a mogło paść kilka sztuk, gdyby nie fatum, które najlepszemu z naszych myśliwych nie pozwoliło na czas włożyć ładunku w lufę.

Kniejowych polowań dotąd u nas prawie nie było; mam do zanotowania tylko jedno piękne polowanie, które się odbyło w dniu 15. października w Kamiennej, u p. Grz. Głuchowskiego. Na polowaniu tem padły 3 rogacze, 2 lisy, 8 zajęcy, 1 cietrzew, 3 słonki i 1 sowa uralska.

Starym obyczajem polujemy tu jeszcze często z gończymi, a twierdzenie, że polowanie z gończymi psami wypłasza zwierzynę, uważamy za bezpodstawne. Ja sam przekładam to polowanie nad wszelkie inne rodzaje polowania, a jeden szarak ubity przed pieskami większą mi sprawia emocyę, niż dziesięć ubitych przed nagonką. Niestety, mało kto już dzisiaj psy trzyma, a dobry pies jak potrzyma dłużej i nie znając granicy uniesie się za zwierzyną do cudzego lasu, ginie niechybnie pod strzałami pobereżników.

Cenna rozprawa p. t. „Nasze kaczki dzikie" wywołała ożywioną wymianę korespondencyj, a że i mnie udało się podpatrzeć kilka szczegółów z życia tego ptaka, który we mnie budził zawsze szczególne zaciekawienie — przeto pozwolę sobie zabrać głos w sprawie owego zjawiska, iż kaczka silnie postrzelona nurkuje i czepia się dzióbem korzenia, lub łodygi rośliny podwodnej. Zjawisko to uważa autor „Naszych kaczek" za przypadkowy symptom agonii, natomiast autor korespondencyi z Kolbuszowej przypuszcza, iż jest to fortel, jakiego kaczka używa w ucieczce przed myśliwym. Na podstawie własnych spostrzeżeń i wsparty doświadczeniem innych, twierdzę, że owo szczególne a właściwe rodowi kaczemu zjawisko, nie może być uważane za fortel, gdyż objaw ten trafia się tylko i wyłącznie u kaczek po silnym postrzale, które, uczepiwszy się dzióbem łodygi podwodnej, w tej pozycyi zazwyczaj w kilka sekund giną. Kaczka w tym stanie nie może w ogóle zdobyć się na fortel, lecz naturalnym instynktem wiedziona, nurkuje pod wpływem bolesnego uczucia rany, chcąc szukać ratunku w żywiole, z którym złączyła ją natura, czując zaś, że słabnie i że woda na wierzch ją wyrzuca, czepia się dzióbem najbliższej łodygi i w tej pozycyi ginie. Zjawisko to nigdy nie przytrafia się przy kaczkach zbarczonych t. j. takich, którym strzał li tylke skrzydło uszkodził i niezdolnymi do lotu uczynił. Kaczka zbarczona, upadłszy na wodę, na widok myśliwego lub psa nur-

kuje natychmiast, by zejść im z oczu, a po chwili wypłynąwszy opodal, wydostaje się na brzeg lub kępę szuwarów i tu wyczekuje spokojnie oddalenia się myśliwego. Ta kaczka niezawodnie używa fortelu, a fortel ten najczęściej jej się udaje, bo pies, któremu kaczka przed nosem nurka dała, głupieje, nurza nozdrza w wodę, parska, kręci się na wszystkie strony i najczęściej mimo wszelkich wysileń odszukać kaczki nie zdoła, zwłaszcza że i niedoświadczony myśliwy nie wie, gdzie takiej kaczki szukać i szuka jej we wodzie — podczas gdy ona na brzegu lub innem suchem miejscu na jego oddalenie czeka.

W obec tego, co wyżej powiedziałem, skłaniam się do zdania autora „Naszych kaczek“, iż ów objaw jest symptomem agonii kaczki, z tą tylko poprawką, że nie jest to symptom przypadkowy, bo zjawisko to zbyt często się trafia, by je przypadkowem nazwać można.

Dnia 16. lipca 1885 roku strzeliłem do porywającego się z szuwarów kaczora na stawie w Żeniowie (pow. przemyślańskiego). Kaczor spadł na halawę. Podpłynąwszy czółnem, bo psa ze sobą nie miałem, znalazłem go zanurzonego do połowy we wodzie, tak, iż kuper wystawał. Sięgnąwszy ręką po kaczora, wydobyłem wraz z nim łodygę lilii wodnej, którą dziobem ściskał, a był już nieżywy. We dwa lata później (w roku 1887), ubiłem w Korszowie na potoku Turka krzyżówkę i znalazłem ją w takiej samej pozycyi, również nieżywą.

Leopold Łysakowski.

Nowe Miasto w październiku.

(Niezwykły kozioł.)

Jako przyczynek do monografii parostków sarnich pozwalam sobie podać szczegół następujący:

Dnia 29 czerwca ubił szwagier mój p. J. G. na podjeździe wieczornym kozła, wyraźnego ósmaka, który oprócz tego posiada na rogach perły znacznej długości, któreby za dalsze gałęzie poczytać można. Rogi tego kozła znajdują się w mojem posiadaniu, są nadzwyczajnej grubości, o olbrzymich różach przy nasadzie i nadzwyczajnie gęsto uperlone, aż do wierzchołków. Niestety, są jednak porosłe mchem i były jeszcze na końcach miękkie. Gdyby ten kozioł był doprowadził rogi swoje do zupełnego rozwoju, byłyby one rzeczywiście fenomenalnymi.

Jako przypuszczalną przyczynę tego anormalnego rozwoju parostków znalazłem przy obdukcyi zastarzały postrzał skutkiem którego kozioł był do połowy wykastrowanym.

Alex. Przedrzymirski.

Stryj w październiku 1891.

(Polowania kniejowe).

Towarzystwo myśliwskie „Stryj“ rozpoczęło w tym sezonie polowania gremialne w Królewszczyźnie, w lesie mającym około 400 morgów obszaru, dokąd cała prawie nasza drużyna myśliwska w dzień św. Michała t. j. 29. września około południa wyruszyła. Pomimo, że tylko pół dnia polowaliśmy, i że cały rewir jest nieduży, rezultat łowów przeszedł wszelkie oczekiwania. W 16 strzelb w 8 miotach padło 13 lisów, 3 zające, 2 sowy, 1 jastrząb — prócz tego lisów tęgo pokiereszowanych uszło 2 — zajęcy chybionych również 2. Polowaliśmy prócz tego i w łozach, w Kawczym kącie, gdzie padło 3 lisy, 5 zajęcy i sowa — toż samo w Synowódzku niżnem i wyżnem i w Chromohorbie z rezultatem jednak mniej świetnym. W Synowódzku w 2 polowaniach w 8—10 strzelb padł 1 rogacz, 4 lisy, 4 zające, 3 jarząbki, 1 słonka — w Chromohorbie na jednorazowem polowaniu w 14 strzelb padło 2 lisy i 6 zajęcy.

Pomimo wielkiego nadzoru straży i szanowania zwierzyny (w każdym miocie poluje się bowiem 2 razy w roku), rewiry górskie skąpe są i w lisy i zające. Być może, iż po kilku latach dopiero zwierzostan się podniesie; praca jednak nad tem idzie ciężko, głównie z tego powodu, że w lasach i krzakach gminnych pasą się stadami owce i krowy, pod nadzorem pastuchów i psów owczarskich, które zwierzynę rozpraszają lub żywcem łapią. Nie mieliśmy wielkich pretensyj do rewirów górskich, ale widzę z doświadczeń dotychczasowych, że rewiry podobne nie nadają się do polowań dla towarzystw myśliwskich z powodu ogromnych zachodów i kosztów. Polowania w górach męczące, dosyć nudne, a w końcu i rezultat mierny. To też Towarzystwo nasze zamyśla odstąpić od dzierzawienia rewirów górskich gminnych, a za to ma zamiar wynająć kilka rewirów dworskich, gdzie praca nad polepszeniem zwierzostanu łatwiejsza a i polowania przyjemniejsze. Starania o to już się rozpoczęły. Może za pośrednictwem Szanownej Redakcyi „Łowca“ moglibyśmy wynająć jaki dworski rewir w powiecie stryjskim lub drohobyckim, o co uprzejmie prosimy. (Redakcya przyjmie najchętniej zgłoszenia właścicieli polowań. Przyp. Red.)

B. W.

Sprawozdania łowieckie.

W Antoninach, na Wołyniu, majętności hr. Józefa Potockiego, podczas małego polowania na słonki z nagonką, wysunął się nadspodziewanie wilk, i ugodzony z prawdziwej lankastrówki słonczym śrótem padł na miejcu. Ale nie był te wilk zwykły — tylko cały czarny, z białem podbrzuszem. Konstanty Pietruski podaje w swem dziele, że w Stryjskiem w r. 1850. pojawiło się cztery czarne wilki, z których jeden ułowiony został w żelaza a drugi ubity. Otóż takim samym wilkiem czarnym, *Canis lycaon* — jest sztuka ubita w Antoninach.

W. Z.

W Lipniku, na polowaniu, odbytem d. 10 październiernika, przekonaliśmy się, jak wielką jest w tym roku ilość lisów. W lesie lipnickim pada rocznie na polowaniu 5—6 lisów; w tym dniu padło ich 14, a prócz tego poszło strzelanych 7 lisów. Ogółem padło zajęcy 19, słonek 5, lisów 14. Dodać jeszcze muszę, że mała ilość zajęcy tłumaczy się właśnie znaczną ilością lisów i tem, iż zając teraz w polu. Wracając zmierzchem z lasu do gościnnego domu państwa Z. Ł. dużo zajęcy na polu widziałem.

Z. W.

W Sieteszy odbyło się d. 15. października polowanie w siedm srzelb. Dawniej kłusownicy tępili zwierzynę w tutejszych kniejach niemiłosiernie. Przez lat kilka polując rok rocznie w lasach Sieteszy — zawsze bardzo małą ilość zwierzyny widywaliśmy w miotach. Zajęcy było jak na lekarstwo, sarn zaś prawie nie spotykaliśmy. Ale

przed dwoma laty udało się właścicielowi wyśledzić 5-u kłusowników, którzy swą śmiałość do tego stopnia posunęli, że pozwalali sobie w biały dzień w lesie z nagonką polować. Wtedy ubili trzy kozy. Właściciel lasu oddał sprawę do sądu karnego, któren z kłusownikami obszedł się bardzo niegrzecznie, gdyż każdego z nich skazał na 6 miesięcy aresztu prócz 3 miesięcy w śledztwie wysiedzianych — na karę pieniężną za zabijanie kóz, nadto na zwrot kosztów postępowania karnego, i odsiadywania kary. Tego dobrego było kłusownikom trochę za dużo, więc po odsiedzeniu kary ucichli i siedzą spokojnie w domu, a o polowaniu nawet mówić nie lubią. To też są widoczne błogie skutki tego ich spokojnego siedzenia, gdyż na tem polowaniu — pomimo, iż teraz jeszcze zając wystraszony spadającym liściem, siedzi w polu — padło zajęcy 14, słonek 4, lisów 6, oraz rogaczy 3. Dodać do tego muszę, iż w każdym miocie widziano sarny i rogacze i byłoby ich znacznie więcej padło, ale jakieś fatum myśliwych prześladowało — gdyż zawsze wychodziły bokiem lub też uderzały na nagonkę — dopiero w ostatnich dwóch gonach spotkaliśmy się z nimi.

Jeden z uczestników.

KRONIKA.

Słonki nawiedziły nas tej jesieni w samym Lwowie, i to nietylko na targu, gdzie handlują zwierzyną, ale żywe, ciągnące, długodzióbe, uwidoczniające uroczą swą sylwetę na tle zorzy wieczornej. Tak przynajmniej widziano parę słonek około połowy października w Parku Stryjskim, jak wzleciawszy z pomiędzy krzaków, ciągły wprost na południowy zachód. W tej samej porze ubito także dość słonek w okolicy Lwowa.

Innych, a również bardzo rzadkich jak na miasto gości, miała i Warszawa około połowy zeszłego miesiąca. Oto całe stadko kuropatw nadciągnęło gdzieś od Mokotowa i zapadło pod kościołem św. Aleksandra. Ścigano je i chwytano bez oporu, bo biedne ptaszyny, najzupełniej oszołomione, nie uciekały nawet przed gołorękimi myśliwcami — a potem zapakowano część ich do klatki.

Szczęśliwa Warszawa! U nas, mimo przepisów łowieckich i żandarmeryi mającej poskramiać kłusownictwo, trudno się spodziewać takiej wizyty, bo i po polach coraz mniej kuropatw.

Tow. rybackie w Krakowie, na zamkniętej niedawno krajowej wystawie w Zagrzebiu, otrzymało za wystawione tam publikacye własne i sprawozdanie z czynności, najwyższe odznaczenie, dyplom honorowy. O przyznaniu przez komitet wystawy nagrody tej, zawiadomiony został prezes Towarzystwa rybackiego, dr. Ferdynand Wilkosz w Krakowie.

Wilki pojawiły się znowu w większej liczbie w Górnem Sarata, przysiołku ad Szypot na Bukowinie i zrządziły znaczne szkody w bydle.

Liczba niedźwiedzi w Rosyi jest jeszcze bardzo znaczną. Wedle szczegółowych dat statystycznych, zebranych przez Karola Grevego, padło w jednym sezonie zimowym 1888/89 w europejskiej części Rosyi 750 niedźwiedzi. Największą ilość ubito w guberniach: nowogrodzkiej (107), moskiewskiej (85), włodzimierskiej (67), ołonezkiej (58), petersburskiej (52) — w innych mniej. Dodać potrzeba, że drobnych niedźwiadków nie wliczano do tej sumy. Nie wiadomo zresztą, jaki był stosunek niedźwiedzi do niedźwiedzic, bo na to nie wszędzie zwracano uwagę; tam wszakże, gdzie jest ta różnica podana, uderza niezwykła dysproporcya, bo na 70 samców przypada tylko 27 samic. Największy z tych niedźwiedzi ważył 630 funtów, najmniejszy 200 funtów.

Jeleń zabójcą. W Styryi, w okolicy Windischgracu, zdarzył się rzadki wypadek śmierci, zadanej przez jelenia. Rzecz się tak miała. Znany w Wiedniu inżynier, Maksymilian Strassberger, którego specyalnością były rozmaite interesa leśne, udał się był z sekretarzem wiedeńskiego Towarzystwa rolniczego, A. Hocheggerem i trzema leśniczymi do lasu, położonego na stoku góry Urszuli, gdzie się znajduje założony od dwóch lat zwierzyniec. Ani Strassberger ani jego towarzysze nie wzięli broni, tylko laski, tembardziej, że w zwierzyńcu znajdował się tylko jeden jeleń, sześć łań i troje młodych. Nawet panie przechodziły nieraz przez zwierzyniec bezpiecznie, bo wszystkie sztuki uważano za zupełnie ułaskawione. Tym razem nie poszło jednak tak szczęśliwie. Na widok ludzi wchodzących do zwierzyńca, ukryły się łanie i młódź w gęstwinie, pozostał tylko jeleń, ósmak, z dumnie wzniesioną głową. Ruszył ku przybyłym zwolna i spokojnie minął cały ich szereg. Dopiero przy ostatnim, którym był Strassberger, zatrzymał się nagle, a potem, schyliwszy łeb niespodzianie, uderzył rogami. Strassberger padł w jednej chwili na ziemię wołając ratunku. Towarzysze jego przybiegli, starając się odpędzić jelenia kijami, lecz nadaremnie. Zwierz ugodził swą ofiarę w brzuch i uszkodził do tego stopnia najdelikatniejsze części organizmu, że Strassberger ducha wyzionął. Dopiero, gdy pracujący opodal młynarz z dwoma parobkami przybiegł, udało się wspólnymi siłami wyswobodzić nieżywą już ofiarę od pastwiącego się nad nią jelenia. Bliższe oględziny okazały, że Strassberger, oprócz śmiertelnego uszkodzenia wnętrzności dwoma uderzeniami, miał ośm żeber złamanych, a ciało w niektórych miejscach było aż do kości rozorane.

O podobnym wypadku donoszą także ostatnich dni z. m. ze Szwochowa pod Pyrzycami na Pomorzu. Był tam chodowany w ogrodzie jeleń i łania. Karmił je zawsze ogrodnik. Otóż niedawno w zastępstwie ogrodnika przyszedł jego pomocnik dać jeleniom karmę. W tej chwili rzucił się na niego jeleń i rozpłatał mu brzuch rogami.

Myśliwy-fotograf. Najnowszym pomysłem w świecie sportu myśliwskiego jest połączenie momentalnej fotografii ze strzałem. Zmierzyłeś się do kozła czy do słonki, strzelasz — i masz równocześnie zdjęcie fotograficzne zwierzęcia, któreś ubił, w chwili strzału. Jeśliś chybił, może cię fotografia pouczyć, w którą stronę strzał poszedł. Do zdjęcia fotografii służy mała kamera, wynalazku R. Lechnera, fabrykanta aparatów fotograficznych w Wiedniu (Graben 31). Jestto aparacik z metalu glinu (aluminium), który, bez alterowania celności, przyczepia się do spodu lufki, niedaleko od jej wylotu. Otwarcie i zamknięcie momentalne kamery zależne jest od ruchu cyngla. Z chwilą zatem gdy proch się zapala i pocisk opuszcza lufę, aparat zaczyna działać i daje potem maleńką okrągłą fotografię najbliższego otoczenia tego punktu, do którego się mierzyło. Jeżeli więc myśliwemu nie zawsze uda się ubić zwierzynę, to może zawsze przynieść do domu fotografię, dającą np. wierny konterfekt słuchów zająca, do którego mierzył, albo serwetki kozła, który go tym obrazkiem pożegnał. Dla zazdrośnych żon może w tem być nawet kontrola, czy myśliwy, zarzuciwszy strzelbę na ramię, poszedł istotnie na polowanie, czy gdzieindziej.

Nie wiemy, o ile wywiązywanie się dymu przy strzale prochem czarnym, przeszkadza działaniu kamery fotograficznej. Na wszelki wypadek użycie prochu bezdymnego sprzyja jej tylko.

Do celów wojskowych może być aparat Lechnera użytym jako kontrola strzałów do tarczy, a pruska komisya prób karabinowych w Szpandawie, postanowiła ewentualne użycie tego wynalazku wziąć pod rozwagę.

Szlafmyca — kuropatwa. Niedawno temu jechał na targ do miasta chłop z Weissenbachu nad rzeką Triesting, nazwiskiem Graebich. Przejeżdżając drogą około lasu, uczuł nagle, że mu spadła z głowy szlafmyca i że w kilku sekundach porwana została przez psa myśliwskiego, który z nią uciekł do lasu. Chłop zaciekawiony, a więcej jeszcze

dbały o los czapki, pobiegł za psem do lasu i tu zobaczył trzech myśliwych, z których jeden, widząc z daleka poruszającą się szlafmycę, sądził, że to..... kuropatwa i strzelił do niej. Nieszczęścia nie było, ale jeden cal niżej, a chłop byłby pomyłkę myśliwych przypłacił życiem.

Wytrzymałość kota. Pewnemu gospodarzowi w Majdanie sieniawskim zaginął 12. sierpnia kot, faworyt domu i sąsiadów, wielce cnotliwy do myszy. Wszelkie poszukiwania były bezskuteczne, aż 3. września usłyszano ze sąsieka w stodole słabe miauczenie. Sąsiek był cały napełniony zbożem w snopach. Cała rodzina wzięła się do roboty, i po odrzuceniu kilku kóp, znaleziono biedne zwierzę jeszcze żywe. Dwadzieścia trzy dni przebyło ono tam bez jadła i napoju i w parę tygodni przy starannem hodowaniu przyszło do siebie.

W klatce niedźwiedzia. Z Hawru donoszą dnia 12. października: Właścicielka menażeryi Poisson weszła do klatki niedźwiedzia, aby się z nim produkować. Niedźwiedź podrażniony rzucił się na nią, wpił jej pazury w ramiona i zdarł skórę z głowy. Na krzyk publiczności pogromca Giacometti uwolnił właścicielkę, która zalana krwią i ciężko poraniona znajduje się w niebezpieczeństwie życia.

Tragedya w menażeryi. W Zemuniu nad Dunajem, tuż koło Belgradu, zaszła znowu jedna z tych krwawych scen, których widowniami zbyt często bywają menażerye. Pogromca zwierząt, nazwiskiem Maksym Brodar, w menażeryi Montenegro, napadnięty został podczas produkcyi swoich przez tygrysa i hyenę. Tygrys już od kilku dni był nieposłusznym i nie chciał przez obręcz skakać. Podczas gdy dwa inne tygrysy w tej samej klatce skakały, oporny stawał w kącie z roziskrzonym wzrokiem. Dnia 19. z. m., w toku przedstawienia chciał Brodar zmusić tygrysa do posłuszeństwa i uderzył go biczem. Wtedy tygrys skoczył na pogromcę i rozpoczęła się walka dzikiej bestyi z człowiekiem. Herkulicznie zbudowany Brodar chwycił tygrysa za gardło i odrzuciwszy go od siebie, chciał się z klatki wymknąć, gdy wtem wpadła na niego hyena i pociągnęła za sobą tygrysa do ponownego ataku.

Walka z rozżartymi zwierzętami, podczas której przerażona publiczność z krzykiem uciekała z widowni, trwała przez trzy minuty. Maksym bronił się rozpaczliwie, dopóki nie nadbiegli ludzie z pomocą i nie oswobodzili go. Pogromca wszakże został ciężko poraniony; otrzymał 37 ran, a ciało jego przedstawiało jedną poszarpaną masę. Żył jeszcze, lecz po kilku dniach uległ ranom. Inne dwa tygrysy, będące w tej samej klatce, stały w kącie nieruchome w czasie walki i ryczały.

Ryś w klatce menażeryjnej trzyma się zwykle w głębi, w cieniu, zawsze okazuje się płochliwym i podejrzliwym w obec ludzi. Innym wszakże okazał się przed kilkunastu dniami ryś menażeryjny w Budapeszcie. Gdy młody chłopak z pomiędzy publiczności zbliżył się zanadto do jego klatki, chwycił go pazurami za głowę i zdarł z niej część skóry. Publiczność przerażona zaczęła uciekać, a w powstałym stąd ścisku skaleczono kilka osób. Zuchwałość podobną w rysiu mogło chyba zbyt ciężkie głodzenie wywołać.

W ogóle sposób postępowania z zwierzętami trzymanymi po menażeryach i zbyt często powtarzające się straszne wypadki z pogromcami i pogromczyniami, powinnyby wywołać jakąś ściślejszą kontrolę policyjną nad przedsiębiorstwami tego rodzaju.

Lord Randulf Churchill, znany parlamentarzysta angielski i bardzo oryginalny mowca, zyskuje sobie teraz ostrogi myśliwskie w Afryce, dokąd się na lwy wybrał. I nietylko ugania się tam za dzikimi bestyami, ale nawet przysyła słono honorowane korespondencye z swych wypraw do dziennika *Daily Graphic*, pisma, które ubiega się o rzeczy oryginalne i nadzwyczajne.

Cóż się jednak w korespondencyach Churchilla pokazuje? Oto, że autor ich tak głęboko w studyach klasycznych był ugrzął, że i teraz, w relacyach myśliwskich, trudno mu się wyswobodzić od... łaciny. Znachodzi się w nich tyle blagi, że nawet najbardziej naiwni czytelnicy poznać się na niej musieli. To też listy lorda Churchilla, oczekiwane z niemałem natężeniem, wywołały w końcu tylko ironiczne wzmianki w całej prasie angielskiej a zarówno dziennikarze, jak i czytelnicy, przeszli nad nimi do porządku dziennego. Lecz nareszcie jeden z ostatnich listów sprawił sensacyę niemałą i obiegł całą prasę trzech królestw zjednoczonych. Ale dlaczego? Oto dla tego, że cytowano ją jako przykład humbugu i reklamy *fin de siécle*.

W korespondencyi tej lord opisuje spotkanie swe z lwami afrykańskimi. Oto w jakich okolicznościach i warunkach takowe nastąpiło: Jechaliśmy wąską odkrytą równiną. Wysoka trawa zakrywała wszelki ślad drogi. Leo (nazwisko afrykańskiego myśliwego, towarzyszącego lordowi) jechał o kilka kroków naprzód. Nagle wstrzymał konia, a zwróciwszy się na siodle, przemówił słów parę przyciszonym głosem, wskazując opodal ręką. Wymówionych wyrazów nie dosłyszałem, spojrzawszy atoli w stronę, którą wskazywał, ujrzałem w odległości nie więcej jak czterdzieści kroków, stojące w trawie zwierzę, maści brudno-żółtej, a wielkości małego wołu. Był to lew w swej własnej osobie. Wstrzymawszy konia, chciałem natychmiast zeskoczyć na ziemię, by wycelować do zwierzęcia. Strzelać z siodła nie mogłem, bo rumak mój zbyt był niespokojnym. Już wyjmowałem nogę z strzemienia, gdy towarzysz mój powstrzymał mnie od tego, wskazując powtórnie na równinę. Patrzę, aż tu na niej całe stado lwów. Naliczyłem ich coś dziesięć sztuk. W obec tego złazić z konia wydało mi się zbyt niebezpiecznem. Ledwo, żem i tak mógł utrzymać w ryzach przerażonego wierzchowca. Tymczasem towarzysz mój wyprostował się na siodle, stanął w strzemionach i wycelował z karabinka. Rozległ się strzał i lew padł ciężko ranny. Jeszcze nie zdążyłem ochłonąć, gdy śmiały nimrod strzał swój powtórzył i drugi lew leżał rozciągnięty. W tej chwili ryk straszliwy rozdarł ciszę powietrzną. „A teraz w nogi!“ — krzyknął mój towarzysz. Spięliśmy konie ostrogami. Tak szalonej jazdy nie próbowałem nigdy. Konie leciały jakby na skrzydłach. Nie pomnę doprawdy, jak i kiedy znaleźliśmy się wśród naszego obozowiska. Żałowałem jednak, żeśmy tak prędko opuścili towarzystwo lwów afrykańskich i że sam nie mogłem powalić choć jednego z nich, zwłaszcza, że pomimo widoku dziesięciu tych wielkich bestyj, nie doznawałem najmniejszego uczucia trwogi.

To „stado lwów“ — to już istotnie za dużo! Umieją i nasi nimrodzi po łacinie, ale mogliby pójść do szlachetnego lorda na naukę...

Szanownych P. T. delegatów gal. Towarzystwa łowieckiego i w ogóle wszystkich czytelników i przyjaciół „Łowca“, upraszamy o szczegółowe wiadomości z kniejowych polowań.

Szanowni członkowie Towarzystwa, zalegający dotychczas z wkładkami, raczą je jak najspieszniej wyrównać.

TREŚĆ: Wł. Spausta: „Parostki kozłów“. — St.: „Pan Rotmistrz“. — F. C. Keller: „Wycieczka na błota pińskie“. — L. G. Dziubiński: „Po polowaniu“. - Józef Dunin-Korwicki: „Gawęda starego charciarza“. — „Na stokach Himalajów“. — Korespondencye: „Skarga charciarzy“. — „Stosunki myśliwskie na Pokuciu“. — „Niezwyły kozioł“. — „Polowania kniejowe“. — „Sprawozdania łowieckie“. — Kronika.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.